

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 5 (1473) 29 STYCZNIA 1989 R. CENA 50 ZŁ

W NUMERZE:

„I zaczęto znosić chorych do Jezusa” •
 „Teraz puszczasz sługę swego... w po-
 koju” • Z życia naszego Kościoła •
 Sympozjum Naukowe z okazji 70 roczni-
 cy odzyskania przez Polskę niepodległo-
 ści • Porady



Ofiarowanie w świątyni – obraz z ok. 1480 r. (fragment)

LEKCJA

z Listu
św. Pawła Apostoła
do Rzymian (13,8-10)

Bracia: Nikomu nie nie bądźcie dłużni, jeno, abyście się nawzajem miłowali, kto bowiem bliźniego miłuje, Zakon wypełnił. Albowiem: Nie cudzołóż, nie zabijaj, nie kradnij, nie mów fałszywego świadectwa, nie pożądaj i wszelkie inne przykazanie zawiera się w tym słowie: Będziesz miłował bliźniego twego jako siebie samego. Miłość bliźniego, złego nie wyrządza, a pełnią Zakonu jest miłość.

EWANGELIA

według
św. Mateusza (8,23-27)

Onego czasu: Gdy Jezus wstąpił do łodzi, weszli za Nim uczniowie Jego. A oto burza wielka powstała na morzu, tak że fale zalewały łódź. A On spał. I przystąpili do Niego uczniowie Jego i obudzili Go, mówiąc: Panie, ratuj nas, ginimy. I rzekł im: Czemu jesteście bojaźliwi, malej wiary? Wtedy powstawszy, rozkazał wiatrom i morzu, i stała się cisza wielka. A ludzie zdumiewali się, mówiąc: Kto jest ten, że wichry i morze są Mu posłuszne?

„Przeprawiwszy się przez Morze Galilejskie, przybyli do brzegu i znaleźli się na ziemi Genezaret. Kiedy wyszli z łodzi, ludzie zaraz poznali Jezusa. I biegali po całej krainie i zaczęli znosić chorych na noszach do miejsca, gdzie słyszeli, że On jest. I gdziekolwiek wchodził do wsi czy do miast, czy do zagród, kładli na placach chorych i prosili Go, aby mogli dotknąć się kraju Jego okrycia. A ci, którzy Go dotknęli, wracali do zdrowia”. Tak św. Marek kończy szósty rozdział swojej Ewangelii. Ten obraz jest nam już dobrze znany. Wraca niemal w każdym rozdziale. Zmienia się tylko sceneria; wioski, miasta i ludzie. Chrystusa widzimy ciągle wśród chorych. Pomaga każdemu potrzebującemu. Leczy nawet tych, którzy ukradkiem dotkną się Jego szat. Dobroć Zbawiciela i Jego lecznicza moc zadziwia każdego, kto czyta relację o uzdrowieniach. Mówiliśmy już o tym wielokrotnie.

Wiemy jednak, że gdyby Zbawiciel uleczył nawet wszystkich swoich ziomek, którzy żyli w Jego czasach, to i tak była by to kropla w morzu cierpień ludzkości w tamtym okresie. Dziś, dzięki postępowi w medycynie, którym przecież nieustannie błogosławi Pan, cudowne uzdrowienia dokonują się często i to niemal na całym świecie. Gdyby do tego ludzkość jeszcze pilniej wypełniała wolę Stwórcy, który polecił jej „uczynić sobie ziemię poddaną”, to postęp w dziedzinie

„I zaczęto znosić chorych do Jezusa”

medycyny byłyby przynajmniej tak szybki, jak rozwój techniki zagięty i zadawania bólu. Powinniśmy pamiętać, że większość cierpień dręczących nasz świat, zafundowaliśmy sobie sami. O osobistej nieroztropności, czy po prostu głupocie w zadawaniu sobie zbędnych cierpień, Mickiewicz napisał taką maksymę:

„Człek potrafi sam sobie posłużyć za kata.
Sam sobie czyni koło i sam się w nie wplata”.

Odbiegliśmy od zwykłych chorób na szerokie wody nieszczęść, ale przecież to ten sam temat. Ludzkie cierpienie! Komu dzisiaj chce się myśleć o potrzebach i kłopotach bliźnich? Bywa, że w jednym domu przez lata mieszkają, po sąsiedzku, trzy zupełnie sobie obce rodziny, spotykające się wyłącznie w windzie lub na schodach, pozdrawiające się zdawkowym „Dzień dobry” i na tym koniec. Nikt nie domyśla się nawet, że za ścianą żyje ktoś bardzo potrzebujący i nieszczęśliwy. Sam wcześniej nie myślał o innych, więc boi się apelować o pomoc. Próbuje samotnie donieść do końca własne brzemie. Zgorzkniały, schorowany, opuszczony nieraz przez własną rodzinę, cierpi taki pustelnik duchowe udręki. Czy

takie sytuacje nie powinny wywoływać rumieńca wstydu na twarzach sąsiadów, zwłaszcza tych mieniących się mianem chrześcijan?

Ludzie, o których mówi zacytowany na wstępie fragment Ewangelii, przerastają wielu nas pod względem miłości bliźniego. To oni są prawdziwymi naśladowcami Chrystusa. Skoro tylko dowiedzieli się, że Zbawiciel znów jest w ich okolicy, rozbiegli się po całej krainie i zaczęli znosić chorych na noszach i prosić Jezusa o ratunek dla tych nieszczęśliwych. To były bezinteresowne czyny miłosierdzia. Nie chodziło przecież o krewniaków i domowników, do czego jeszcze skłaniają więzy rodzinne. Miłość wyrażana czynem, a nie słowna deklaracja, znamionuje ludzi o wielkich sercach. Takim sercom nie oprze się nigdy serce Chrystusa, który leczy każdego chorego. Miał odpocząć a pracuje. Mógł się modlić gdzieś na uboczu, czy udać się na święta Paschy do Jerozolimy, co przecież należało do obowiązków każdego zdrowego Izraelity, a Jezus tym razem służy chorym.

Z zażenowaniem patrzymy na trud mieszkańców krainy Genezaret. Myślę jednak, że i nas stać byłoby na taki jednorazowy zryw, gdyby zjawił się w naszej osadzie uzdrowiciel. Gorzej bywa, gdy musimy opiekować się chorym codziennie, przez miesiące i lata. To jest problem! Nie rozwiązują

go szpitale, domy starców, czy tzw. opiekowni społeczni. Ale dobrze, że te instytucje istnieją i że są ludzie o wielkich sercach, którzy decydują się, by tam pracować w charakterze pielęgniarek, pielęgniarzy i sallowych.

Niedawno pewien młody człowiek cudem uszedł śmierci, chociaż zderzył się we mgle z samochodem ciężarowym. Z wozu, którym jechał zostały mizerne szczątki, a liczne obrażenia ten młody mężczyzna leczył w szpitalu. Kiedy z nim rozmawiałem zapytałem o obsługę. „Nie mam odpowiednich słów, by wyrazić moje uznanie i wdzięczność dla pielęgniarek i lekarzy. Jako sołtys, często zbieram datki na Fundusz Ochrony Zdrowia. Wielu gospodarzy nie chciało płacić, uskarżając się na duże stawki podatkowe, a do tego jeszcze FOZ, NCPS, czy inne składki. Dotychczas w duchu przyznawałem im rację. Teraz znajduję argumenty na to, by przekonać każdego do dobrowolnych ofiar. Żaden pieniądz nie zrównoważy wysiłku i wartości usług tych ludzi!” — podsumował swoją wypowiedź wdzięczny pacjent rejonowego szpitala w Lipsku nad Wisłą. Do tego i do innych szpitali przywozi się ciągle chorych, nad którymi — wraz z lekarzami i personelem pomocniczym — pochyla się Jezus Chrystus, niosący ulgę w cierpieniu.

Ks. A. B.

„Teraz puszczasz sługę swego... w pokoju”

Przed nami pamiątka Ofiarowania Jezusa w świątyni oraz Oczyszczenia Maryi, stosownie do przepisu prawa Mojżeszowego, zwane popularnie uroczystością Matki Bożej Gromnicznej. Przewodnią myśl tego święta stanowi jakby przejście od faktu narodzenia Chrystusa do Wielkanocy. Wprawdzie widzimy jeszcze Dziecię na ręku Maryi, ale przynosi je ona, by złożyć z niego ofiarę Ojcu niebieskiemu na okup upadłej ludzkości. W tej bowiem chwili zaczynają się wypełniać słowa proroctwa mesjańskiego: „Ofiary i całopalenia nie chciałeś, ale mi ciało przygotowałeś. Wtedy rzekłem: Oto idę!”

Opisujący ofiarowanie Chrystusa w świątyni Łukasz, ukazuje nam oprócz Jezusa i Maryi, inną jeszcze postać: starca Symeona. Wspominają również o nim — przeznaczone na święto Matki Bożej Gromnicznej — słowa liturgii Kościoła zachodniego: „Dziś błogosławiona Dziewica Maryja stawiała dziecię Jezus w świątyni, a Symeon, napełniony Duchem Świętym, wziął je w ramiona i błogosławił Pana”. Z tej zapewne racji w Kościele wschodnim uroczystość ta nosi nazwę „hypapante” = spotkanie. Spotkanie ludzkości z obcym jej Mesjaszem, której ten świątobliwy Starzec był przedstawicielem.

Opracowanie niniejsze poświęcone będzie wspomnianej wyżej postaci biblijnej. W oparciu o relację Ewangelisty oraz komentarze pisarzy wczesnochrześcijańskich, poświęconych temu wydarzeniu, postaram się zwrócić uwagę na reakcję Symeona, wywołaną przez jego spotkanie ze Zbawicielem.

Stosownie do przepisu prawa Mojżeszowego — czterdzieści dni po urodzeniu syna, a osiemdziesiąt dni po narodzeniu córki — każda niewiasta izraelska uważana była za nieczystą. Po upływie tego czasu musiała udać się do świątyni, by tam poddać się obrzędowi oczyszczenia. Ponadto, jeżeli dziecko było pierworodne (wówczas z prawa ogólnego było własnością Boga, podobnie jak pierworodne zwierzęta i

najbardziej prawdopodobne, że był on zwykłym Żydem, trzymającym się z dala od wielkich przywódców i polityków jerozolimskich.

Bardzo wysoką ocenę moralną wystawia temu człowiekowi Ewangelista. Podkreśla bowiem z naciskiem, że „człowiek ten był sprawiedliwy i bogobojny” (Łk 2,25b). Podobnymi słowami określa wcześniej Łukasz Zachariasza i Elżbietę, gdy pisze, iż „byli oni sprawiedliwi wobec Boga, postępując nienagannie według wszystkich przykazań i ustaw Pańskich” (Łk 1,6). Przytoczone słowa stanowiły więc najwyższą pochwałę i były powodem do największej dumy. Jednak Symeon nadal pozostał człowiekiem skro-

(Łk 2,27a). Zatrzymał się zapewne u bramy Nikanora, wiodącej na wewnętrzne dziedzińce świątyni. Stał tutaj z radosnym, a skupionym wyrazem twarzy, patrząc pilnie przed siebie, jakby kogoś wyglądał z tęsknotą. Wreszcie nadeszła chwila, której tak długo oczekiwał. Bo „gdy rodzice wnosili dziecię Jezus, by wypełnić przepisy zakonu (Mojżeszowego) co do niego, on wziął je na ręce swoje i wielbił Boga” (Łk 2,27b-28). Jakże obficie spełnił Bóg swą obietnicę. Symeon nie tylko ujrzał Zbawiciela, ale mógł dźwigać na swych rękach Boże Dziecię. Dlatego też uszczęśliwiony, wielbił Boga, mówiąc: „Teraz puszczasz sługę swego, Panie, według słowa swe-



pierwociny z pól), należało je wykupić. Nie było jednak konieczne przynosić dziecię do świątyni.

W stosownym czasie wybrała się Maryja do Jerozolimy, by tam wypełnić obowiązek wynikający z prawa. Równocześnie wzięła z sobą Dziecię, by złożyć je Bogu w ofierze. Opisujący te wydarzenia Ewangelista zauważa, że „był wtedy w Jerozolimie człowiek imieniem Symeon” (Łk 2,25a). Imię Symeon było wśród Żydów bardzo pospolite. Kim był ów starzec, nie wiadomo. Niektórzy Ojcowie Kościoła uważali, że był on synem rabbię Hillela, a ojcem Gan. Aliela, który znów był nauczycielem św. Pawła. Pewien apokryf wspomina nawet, że był arcykapłanem. Nie ma jednak żadnych powodów, utwierdzających do takiego wniosku. Przeciw takiej identyfikacji jest też sporo trudności natury chronologicznej. Jest więc

mnym i pokornym, nazywając siebie tylko „sługą Pana”, co zasługuje na szczególną uwagę.

Podobnie, jak wielu jego współziomków, również i on „oczekiwał pociechy Izraela, a Duch Święty był nad nim” (Łk 2,25c), tj. czasów mesjańskich, kiedy to umocni się pozycja ludzi bogobojnych, którzy do tej pory często byli uciemienieni. Doskonalszą etyczna stała się też powodem, że Bóg był przy nim przez Ducha Świętego, przez którego przekazywał mu swoje zlecenia. Nie należy się więc dziwić, że „temu Duch Święty objawił, iż nie ujrzy śmierci, zanim by nie oglądał Chrystusa Pana” (Łk 2,26). Jemu zapewne zostało to, czego oczekiwał każdy bogobojny Izraelita. Wcześniej dostąpili tej łaski ubodzy, betlejemsy pasterze (por. Łk 2,10-12).

Tenże mąż Boży „przyszedł... z natchnienia Ducha do świątyni”

go w pokoju, gdyż oczy moje widziały zbawienie twoje, które przygotowałeś przed obliczem wszystkich ludów: Światłość, która oświeci pogan i chwałę ludu twego izraelskiego” (Łk 2,29-32). Skoro zobaczył na własne oczy Mesjasza, na którego przyjście czekali ludzie przez wieki, nic go już z tym światem nie wiąże. Może więc spokojnie umrzeć, gdyż ma pewność, że Chrystus jest również jego zbawieniem.

Gdyby wówczas stał w pobliżu jakiś faryzeusz, nie byłby w stanie ukryć swego oburzenia słysząc, że Mesjasz ma dokonać odkupienia „wszystkich narodów” oraz stać się „Światłością, która oświeci pogan”. Takie słowa byłyby dla faryzeusza skandalem, jeżeli nie rewolucją. Według przekonania panujących w narodzie żydowskim, obiecany Me-

ciąg dalszy na str. 5

Msza w intencji Ojczyzny w parafii bielskiej

Listopad jest dla Polaków miesiącem wyjątkowym. W tym miesiącu bowiem Polska odzyskała niepodległość. Dokładnie 70 lat temu, 1 listopada 1918 roku, po 123 latach zaborów. Polska znowu była wolna. Znow zaistniała na mapie Europy. Wszystkie Kościoły i wyznania w Polsce, a wśród nich także Kościół Polskokatolicki uroczysto obchodzą tę rocznicę. Odprawiane były uroczyste Msze św. oraz Nabożeństwa, na których modlono się żarliwie w intencji Ojczyzny. Dziękowano Bogu za to, że pozwolił odrodzić się Polsce na nowo, a także proszono Go o pomyślność dla Ojczyzny na dalsze lata.

W parafii polskokatolickiej pw. św. Anny w Bielsku-Białej rocznica ta także była bardzo uroczysto obchodzona. W niedzielę, 6 listopada 1988 roku, cała bielska społeczność polskokatolicka udała się do swojego kościoła parafialnego. W tym dniu bowiem miała być odprawiona uroczysta Msza św. koncelebrowana w intencji Ojczyzny. Ksiądz infułat Henryk Buszka, proboszcz parafii i dziekan dekanatu bielskiego, zaprosił na tę uroczystość ks. Radosława Jankowskiego z Andrychowa i ks. Józefa Dutkiewicza z Chwałowic-Rybnika. Na uroczystość przybył także pan mgr Paweł Kielczewski, st. inspektor z Urzędu do Spraw Wyznań w Bielsku-Białej.

O godz. 10.30 świątynia była już pełna. Ks. Jankowski przeprowadził dla licznie zgromadzonych wiernych Spowiedź św. ogólną, a ks. Dutkiewicz wysłuchał od sporej gromadki dzieci i młodzieży Spowiedzi usznej. Punktualnie o godz. 11 Ksiądz Infułat w pięknym, białym ornacie (specjalnie kupionym na tę uroczystość) w asyście księży: Jankowskiego i Dutkiewicza, rozpoczął koncelebrowaną Mszę św. Oprawę muzyczną wspaniale przygotowała organistka tutejszej parafii, pani Mirosława, która pięknie wykonywała utwory organowe oraz student z Akademii Muzycznej, grający na skrzypcach. Słowo Boże wygłosił Ksiądz Infułat, który mówił o naszej Ojczyźnie, o jej przeszłości wzniosłej i chlubnej, a często też i tragicznej. Ks. H. Buszka podkreślił, że zawsze dostrzec można było rękę Bożej Opatrzności nad naszym krajem. Ojczyzna przez 123 lata była pod zaborami, nie istniała na mapie świata; a jednak się wyzwoliła, zrzuciła kajdany niewoli. Zaistniała na 20 krótkich, ale jakże znaczących lat. Potem przyszły mroki okupacji, których też Ojczyzna nasza się nie ulękła. Nie poddała się wierząc, że kiedyś będzie znowu wolna. Te marzenia spełniły się w 1945 roku, Polska istnieje. Przeszła różne powojenne koleje losu, dobre i złe, ale istnieje, rozwija się i mamy wszyscy nadzieję, że będzie w niej ludziom z czasem coraz lepiej. Należy mieć zawsze nadzieję i wiarę gdyż z każdego kryzysu jest przecież jakieś wyjście. Należy mocno wierzyć, że Opatrzność Boża i tym razem dopomoże narodowi polskiemu.

Po tym budującym Słowie do Stołu Pańskiego przystąpiła większość obecnych wiernych. Tworzą oni w Bielsku liczną społeczność parafialną. Parafia tutejsza liczy bowiem kilkaset rodzin. Obiekt sakralny jest zaś na taką liczbę za mały. Nie może pomieścić wszystkich wiernych, w środku jest ciasno, przejście jest utrudnione, wiele osób musi stać i słuchać Mszy św. na zewnątrz. Dlatego też warunki, w jakich odbywają się podobne uroczystości, nie należą do najłatwiejszych. Ale wszyscy mamy nadzieję, że rozpoczęta budowa nowego kościoła parafialnego — dużego i funkcjonalnego — szybko zostanie ukończona i będziemy mogli modlić się już bez ścisku. Wszyscy prosimy Boga, naszego Ojca w Niebiesiach, o pomoc duchową w tym trudnym przedsięwzięciu. Budowa ta bowiem nie należy do łatwych i nie wszyscy w mieście są do niej przyjaźnie nastawieni. Lecz my pokładamy nadzieję w Bogu, który — jak dotąd — w każdej sytuacji nam dopomagał i myślimy, że teraz nam też pomoże.

Po zakończeniu Mszy św. nastąpiła druga część uroczystości. Spora gromadka dzieci recytowała znane utwory poetyckie poświęcone Ojczyźnie. Na zakończenie Ks. Infułat bardzo serdecznie podziękował wszystkim zgromadzonym za tak liczne przybycie. Po udzieleniu błogosławieństwa i odśpiewaniu „Boże coś Polskę...” uroczystość dobiegła końca.

Ks. Radosław Jankowski



Uroczystą Mszę św. koncelebrowaną odprawili: ks. inf. H. Buszka, ks. R. Jankowski i ks. J. Dutkiewicz



Dzieci i młodzież recytują znane utwory poetyckie poświęcone Ojczyźnie



Na uroczystą Mszę św. w intencji Ojczyzny przybyła cała bielska społeczność polskokatolicka

„Teraz puszczasz sługę swego... w pokoju”

dokończenie ze str. 3

szasz winien przyjść wyłącznie do ludu wybranego. Inne narody mogą być ostatecznie tolerowane w czasach mesjańskich, ale tylko jako pokorni słudzy i uczniowie. Zrównać Izraelitów i inne narody w korzystaniu z owoców mesjanistycznego odkupienia — to prawdziwa herezja, której przyjąć nie sposób.

Kontynuując swoją relację, Ewangelista zauważa: „Ojciec Jego i matka dziwili się temu, co o Nim mówiono” (Łk 2,33). Maryja i Józef nie wiedzieli od początku wszystkiego, co dotyczyło posłannictwa Jezusa. Dlatego z podziwem duszy rozważali Boże tajemnice, odkryte im za pośrednictwem Symeona.

Kończąc opowiadanie o tym niezwykłym spotkaniu, Łukasz pisze, że Symeon — zwracając się do Maryi — dodał: „Oto ten przeznaczony jest, aby przezeń upadło i powstało wielu w Izraelu, i aby był znakiem, któremu się sprzeciwić będą, i aby były ujawnione myśli wielu serc; także twoją własną duszę przeniknie miecz” (Łk 2,34-35). Tym „znakiem” jest sam Chrystus, który swą nauką i cudami udowodnił, że jest obiecany Mesjaszem. Stąd osoba Chrystusa będzie przedmiotem wielu kontrowersji, a nawet otwartego sprzeciwu nie tylko ze strony własnego narodu. Bowiem — jak to później zauważył Apostoł — nauka Jezusa, a zwłaszcza Jego krzyż stana się „dla Żydów zgorszeniem, a dla pogan głupstwem” (1 Kor 1,23). Również Maryja weźmie udział w cierpieniach swego Syna, które niczym ostry miecz przeszyją jej serce i duszę. Cierpieć będzie, gdy współrodacy sprzeciwią Mu się będą, gdy Go odrzuca, a zwłaszcza, gdy Mu życie odbiorą.

O spotkaniu Symeona z Chrystusem, stanowiącym jeden z wątków święta Matki Bożej Gromnicznej wspomina w swym wystąpieniu św. Augustyn, mówiąc: „Uznał Dzieciątka starzec i sam w Nim stał się dzieckiem (Bożym). Odmłodzony został w swej sędziowości... Starzec Symeon niósł Chrystusa-Dziecię, a Chrystus kierował starcem Symeonem. Miał bowiem zapowiedziane przez Pana, że nie zagna śmierci, dopóki nie ujrzy narodzonego Pomazańca Pańskiego. Chrystus się narodził i spełniło się pragnienie starca... Przyszedł do starca Ten, który świat starym zastał”.

Komentując zaś słowa kantyku: „Teraz puszczasz sługę swe-

go w pokoju...”, wyśpiewanego przy spotkaniu z Chrystusem, św. Ambroży stwierdza, że Symeon „chciał być uwolniony z więzów kruchego ciała, ale czekał, aby ujrzeć Obiecane; wiedział bowiem, że „błogosławione oczy, które Go oglądają”. I wziął Go w ramiona swoje i błogosławił Boga, mówiąc: „Teraz, o Panie, według słowa Twego uwalniaś sługę Twego w pokoju”. Patrz, jak ów sprawiedliwy, w ciele swoim niby w więzieniu zamknięty, gorąco pragnie być uwolniony i pozostać z Chrystusem... Kto chce być uwolniony i pozostać z Chrystusem, stanowi lepszą część. Kto chce być uwolniony, niech (wraz z Symeonem) przybędzie do świątyni... niech czeka na Pomazańca Pańskiego; niech na ręce swoje weźmie Słowo Boże, niech je obejmie czynami swoimi, niby ramionami wiary swojej. Wówczas będzie uwolniony, by nie oglądać śmierci, skoro ujrzał Żywot”.

W uroczystości Matki Bożej Gromnicznej — zgodnie z dawną tradycją — dokonuje Kościół poświęcenia świec, zwanych gromnicami. Podczas tej ceremonii, nawiązując do spotkania Symeona z Chrystusem oraz wypowiedzianych przez niego słów, modli się Kościół, mówiąc: „Wszechmogący, wiekuisty Boże, stawiłeś dzisiaj w kościele świętym jednorodzonego Syna Twego, aby Go wziął na ręce Symeon. Twojej łaskawości pokorne prośby przedstawiamy: te świece, które my słudzy Twoi, bierzemy ku chwale Imienia Twojego i ogniem zapalone nosić pragniemy, racz pobłogosławić, poświęcić i rozpalić je światłem błogosławieństwa niebiańskiego, abyśmy ofiarując je Tobie, Panu Bogu swemu, płonęli świętym ogniem miłości ku Tobie i godni byli stanąć w świętym przybytku Twej chwały”.

Poświęconą gromnicę zapala się podczas burzy by wstawieństwo Bogarodzicy Maryi uchroniło nas, nasze domy i dobytek od uderzenia pioruna. Gdy kapłan przybywa do chorego z Najświętszym Sakramentem, wychodzi się naprzeciw niego z płonącej gromnicą. Wreszcie konająca trzyma gromnicę w słabnącej dłoni. Przypomina mu bowiem ona Chrystusa, którego starzec Symeon spotkał w jerozolimskiej świątyni oraz światłość wiekiustą, do której za chwilę wejdzie jego dusza.

Ks. JAN KUCZEK

KRAJ

Projekt umowy o współpracy w ochronie środowiska między Polską, NRD i Czechosłowacją był tematem spotkania w Berlinie wiceministrów resortów ochrony środowiska tych krajów. Przygotowywany dokument ma na celu podjęcie realnych i skutecznych działań prowadzących do redukcji zanieczyszczeń na terenie trzech krajów, ze szczególnym uwzględnieniem rejonów przygranicznych oraz elementów powodujących degradację lasów. Ugodniono szczegółowy plan przedsięwzięć na lata 1989 i 1990. Pracuje się nad podobnym dokumentem obejmującym kolejną pięciolatkę. Wiele uwagi poświęca się kwestii odpowiedzialności za szkody powstałe w środowisku. Przewiduje się, że to zagadnienie stanowić będzie temat dyskusji kolejnego spotkania.

Na Zamku Królewskim w Warszawie odbyła się prezentacja szat i innych przedmiotów związanych z ostatnim królem Polski, Stanisławem Augustem. Pamiątki te przejęła Komisja Fundacji Kultury Polskiej zajmująca się poszukiwaniem szczątków królewskich. Komisja FKP przebywała w Brześciu, Wołczynie i Mińsku i Grodnie. Otrzymała ona od państwowego Muzeum Białoruskiej SRR skrzyżniętą zawierającą m.in. fragment tkaniny aksamitnej, tkaniny jedwabnej ze srebrną nicią, hafty z wykonanym srebrną nicią orłem białym. Przedmioty te odkryto w 1987 r. w ruinach kościoła w Wołczynie, gdzie w latach 1938-46 przechowywano trumnę ze zwłokami Stanisława Augusta. Pracownicy mińskiego muzeum nie znaleźli natomiast w kościele samych szczątków polskiego króla. W maju do Wołczyna udadzą się polscy archeolodzy, którzy przeskają krypty, kaplice i nawy tamtejszego kościoła.

W Wydziale Społeczno-Administracyjnym urzędu m. Krakowa zarejestrowano stowarzyszenie „Kuźnica”, którego głównym celem jest skupienie polskiej lewicy intelektualnej. Terenem działania Stowarzyszenia jest cała Polska, a siedzibą — Kraków.



We wsi Żelistrzewo koło Pucka ma miejsce przegląd zespołów kołędniczych, którego celem jest kontynuowanie tradycji ludowego kołędowania na Kaszubach. Na zdjęciu — członkowie zespołu z Wiejskiego Domu Kultury w Żelistrzewie.

ŚWIAT

Akademia Nauk ZSRR i Krajowa Akademia Nauk USA stworzyły Komitet ds. Globalnych Problemów Ekologicznych, który zajmować się będzie rozpatrywaniem ich aspektów naukowych i politycznych. Na konferencji prasowej, która odbyła się w kalifornijskim mieście Irvine prezes Krajowej Akademii Nauk USA poinformował, że szczególnym zadaniem Komitetu będzie opracowanie mechanizmu wczesnego wykrywania niebezpiecznych zjawisk ekologicznych o daleko idących następstwach oraz zwrócenie na nie w porę uwagi rządów ZSRR i USA.

W Berlinie zakończyły się 16. z kolei rokowania pełnomocników rządów Polski i NRD na temat gospodarki wodnej w wodach granicznych obu krajów. Parafowano porozumienie dotyczące zapobiegania i zwalczania nadzwyczajnych zanieczyszczeń na Nysie Łużyckiej i Odrze granicznej. Porozumienie zakłada ścisłą i wzajemną pomoc Polski i NRD w przypadku awarii w wodach granicznych. Koszty zwalczania i likwidacji nadzwyczajnych zanieczyszczeń wód granicznych ma ponieść kraj, w którym wydarzyła się awaria.

Japonia należy do tych państw świata, które przodują w rozwoju różnych dziedzin nauki i techniki. Także w medycynie, z wyjątkiem transplantologii. Dziedzina ta jest mało rozwinięta z przyczyn pozamedycznych. Japończycy wierzą mianowicie, że dusza ludzka mieszka w sercu. Dlatego dla wielu z nich śmierć następuje wówczas, gdy serce przestaje bić. Ale dusza, zanim opuści ciało, musi w nim jakiś czas pozostać. Okres ten jest dla Japończyków okresem przejściowym między życiem a śmiercią, dlatego rodziny zmarłych nie pozwalają lekarzom na pobieranie organów koniecznych do przeszczepów. A jak wiadomo, przy tych operacjach czas odgrywa ogromną rolę.

W związku z pytaniami, jakie wywołała informacja o budowie w Wilnie drogi, która przebiegałaby przez zabytkowy cmentarz na Roscie, wicedyrektor Departamentu Konsularnego MSZ Waldemar Lipka-Chudzik oświadczył, że władze radzieckie całkowicie odstąpiły od planowanej budowy drogi przecinającej zabytkowy cmentarz.



Film Olivera Stone „Wall Street” to opowieść o wzlocie i upadku maklera nowojorskiej giełdy Gordona Gekko, którego gra znany aktor Michael Douglas. Na zdjęciu — scena z tego filmu.

Gnoza jako swoisty fenomen religijny w swej klasycznej i źródłowo najlepiej poświadczonej postaci pojawia się w II i III wieku po Chr. Zaraz staje się poważnym problemem tak religijnym jak i teologicznym, a w swej doktrynalnej postaci (gnostycyzm) urasta do poważnego oponenta, w znacznym stopniu wpływający na rozwój nauki kościelnej. Gnoza „osiągnięcie zbawienia dzięki wiedzy i poznaniu siebie” — oto zagadnienie, które poruszało umysły i wyobraźnię członków pseudochrześcijańskich sekt i wielkich odstępców: Bazyliidesa, Walenty na czy Marcjona.

Idee gnostyczne żyją po dzień dzisiejszy, przybierając kształt niekiedy nieoczekiwany, zwłaszcza dla tych, którym gnostycyzm kojarzy się z historią religii i początkami chrześcijaństwa. Okazuje się jednak, że zasadnicze cechy gnostycznej wizji świata i zbawienia można odnaleźć w całych dziejach intelektualnych Zachodu i że promieniają one również w sferze kultury, a nie tylko filozofii czy religii. Wynikają one z przekonania, że świat można ocalić zdobywając tajemną wiedzę — gnozę — dostępną tylko nielicznym wybrańcom a dostarczającej uniwersalnego wyjaśnienia ludzkiego bytu i ludzkich dziejów oraz odpowiedzi na wszystkie zasadnicze — metafizyczne i egzystencjalne — pytania nurtujące człowieka. Tak pojmowany gnostycyzm wciąż oddziałuje na myślenie sporej części ludzi. Tak oto prąd intelektualny zrodzony u początków naszej ery znajduje dwa tysiące lat później zwolenników. Jest to dostatecznie ważki powód, by przyjrzeć się bliżej gnostycznej „pokusie”.

Oto co na temat gnostycyzmu pisze Tertulian: „Przyjmuje mianowicie nasz Pontyńczyk (Marcjon) istnienie dwóch Bogów, nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób wpływa niejako między dwie Symplegady, które muszą spowodować jego katastrofę. Jeden z tych Bogów to nasz Bóg-Stwórca, którego istnienia nie mógł zaprzeczyć — drugi zaś to już jego własny bóg, którego istnienia nie potrafi udowodnić. Natchnienie do tego rodzaju pomysłu zaczerpnął z fragmentu zupełnie jasnej wypowiedzi Pańskiej (Mt 7,18) o drzewie dobrym i drzewie złym, która to wypowiedź odnosi się przecież nie do bogów, ale do ludzi, i stwierdza tylko tyle, że dobre drzewo nie rodzi złych owoców ani złe drzewo dobrych, to znaczy, że kto dobrze myśli i wierzy, nie czyni złe, kto zaś myśli i wierzy złe, nie czyni dobrze. Gdy już zmęczony się bezustannym walkowaniem kwestii pochodzenia zła, a do tego jeszcze stępił

ciąg dalszy na str. 7

Z zagadnień dogmatyki katolickiej

Sukcesja apostołska

Sukcesja apostołska wiąże się ściśle z Sakramentem Kapłaństwa, ale poświęcam jej dzisiaj gawędę, ponieważ dogmatycy katoliccy właśnie w sukcesji widzą źródło legalnego przekazywania — z pokolenia na pokolenie — świętej władzy w Kościele, oraz gwarancję ważności tej władzy. Warto i trzeba właśnie na tym miejscu mówić o sukcesji również z tego względu, że ma ona zagorzałych przeciwników w niektórych wyznawcach Chrystusa. Rekrutują się oni głównie z tych nielicznych grup wyznaniowych, które nie uznają prawdy, że święta władza w Kościele pochodzi od Chrystusa. Twierdzą, że pierwotny Kościół nie miał żadnej widzialnej władzy, a kierował nim Duch Boży, objawiający się w miłości i braterstwie. Wszyscy jednak wiemy, że jakakolwiek większa społeczność bez władzy — to po prostu utopia.

Księga Dziejów Apostolskich, Listy i Apokalipsa dostarczają licznych dowodów na to, że wybrani przez Chrystusa ludzie sprawowali w Kościele rzeczywistą władzę nauczycielską, pasterską i kapłańską. Nikt rozumny nie może zaprzeczyć temu, że Apostołowie musieli mieć swoich następców, by prowadzić dalej dzieło zbawcze. Byli nimi biskupi, wybierani przez ogół wiernych lub duchowieństwo. Apostołowie praktykowali również mianowanie biskupów. Wybrany, czy też mianowany na urząd biskupa człowiek, otrzymywał pełnię władzy apostołskiej w Kościele i dla Kościoła (a nie dla siebie, aby się tym szczyścić i wynosić nad innych) przez święcenia, zwane konsekracją, lub sakrą biskupią. Najistotniejszym elementem sakry jest włożenie rąk Apostoła na głowę nowego Sługi w świętym Urzędzie. Tak przekazujący, jak też przyjmujący święty ciężar duchowego posługiwania dla dobra wiernych, muszą do ważności święceń mieć dobrą wolę. Sakra przekazywana czy też przyjmowana pod przymusem jest nieważna. Nie może też przekazać władzy biskupiej ktoś, kto jej nie ma. Musi to zrobić prawdziwy biskup. Troskę całego Kościoła i poszczególnych jego Wspólnot o to, by zachować nieprzerwany ciąg władzy biskupiej, czyli czepać ją z pewnego źródła, widzimy od samego początku chrześcijaństwa. Jest to właśnie troska o sukcesję.

Spróbujmy teraz możliwie najprościej, a przy tym jasno określić, czym jest ta sukcesja i dla-



Sw. Marek Ewangelista

czego tak o nią zabiegają katolickie Gałęzie kościelne. Sukcesją apostołską nazywamy nieprzerwany łańcuch przekazywania władzy biskupiej, którego pierwszym ogniwem jest konkretny Apostoł lub Kolegium Apostolskie. Tylko ten biskup ma prawo nazywać się prawdziwym Apostołem Chrystusa, który otrzymał ważną sakrę.

Zasada sukcesji apostołskiej jest widzialnym znakiem przepływu niewidzialnych darów danych przez Chrystusa Apostołom dla potrzeb Kościoła. On sprawia, że Kolegium biskupów dnia dzisiejszego jest rzeczywistym Kolegium Apostolskim, a każda Gałąź wyznaniowa, która zna źródło swej prawowitej władzy, może mieć nie tylko moralną, ale również historyczną pewność, że jest rzeczywistą częścią Chrystusowego Kościoła.

Sukcesja apostołska jest przekazywaniem biskupstwa w Kościele i dla Kościoła. Biskup zrywający jedność z Kościołem Chrystusowym nie może przekazać darów, które utracił. Z pustego naczynia nie da się niczego przelać. Sukcesja w urzędzie bez sukcesji Kościoła w wierze apostołskiej, jest po prostu niczym. Wygasa tak, jak wygasła władza Apostoła Judasza, który

stał się Judaszem — zdrajcą. Kolegium Apostolskie przekazało wygaśnięty mandat Judasza Maciejowi, który otrzymawszy sakrę apostołską, czyli świętą władzę, z rąk Kolegium zajął miejsce Judasza, ale nie jest następcą Judasza w apostołacie. To Kościół zabiega o to, by jego biskupi mieli ważną sakrę, a tym samym byli następcami Apostołów w ich świętym urzędzie, czyli sukcesorami i spadkobiercami Kolegium Apostolskiego, świętej nauki, którą Chrystus przekazał Apostołom w Kościele i dla Kościoła. Warto i trzeba przypomnieć, że w przekazywanym sukcesji urzędzie apostołskim partycypują nie tylko sami biskupi. Z woli biskupów, i w łączności z nimi udział rzeczywisty w świętej władzy mają kapłani i diakoni, na których zwłaszcza w naszych czasach — spoczywa lwia część duszpasterskiej troski nad Ludem Bożym. Polskokatolicki Episkopat, a z nim całe duchowieństwo, posiada uznaną przez całe chrześcijaństwo sukcesję apostołską, otrzymaną z bratniego Kościoła Starokatolickiego w Holandii. Każdy, kto podważa lub poddaje w wątpliwość ten fakt, wydaje świadectwo własnej ignorancji lub złej woli.

Ks. A. BIELEC

Szczęście. Rozmaicie definiowane przez filozofów, a poszukiwane przez wszystkich. Czy umiemy je odnaleźć i zatrzymać? Epikur twierdził, że często ludzkie nie są szczęśliwi tylko dlatego, iż sobie wyobrażają, że nie mogą być szczęśliwi.

*

Szczęście nie rodzi się w pustce ani z niczego. Do szczęścia zawsze konieczny jest ktoś lub potrzebne jest coś, czego obecność lub wiara w dobiegającą końca nieobecność, daje człowiekowi radość. Temu czemuś musi zawierzać i równocześnie wierzyć sobie samemu, swemu domowi, swoim bliskim, miejscu pracy, swojemu współżyciu z ludźmi. Zawierzyć przyjmowanym zasadom i wyznawanym ideałom. Wiara pozostaje w tym, co szczęściem i radością ogarnia dlatego, że temu komuś lub czemuś się sobą oświadcza, że w tym kimś lub czymś znajduje siebie i oddanie dla siebie. Dlatego wiara dla szczęścia jest strem i podporą, z niej pochodzi u każdego człowieka swoistość, siła i wzniosłość samego odczucia i przeżywania szczęścia.

Z wiary też szczęście okazuje się takie, jaką wiara się nim obdziela. Dwie pary oczu wpatrzone w siebie w nieszczęściu i ze szczęścia stanowią zarazem wyraz wiary tak wszechwładnej, że w uniesieniu zdolnej łamać wszystkie nakazy i zakazy, byleby westchnienia nie stracić. I słusnie się utrzymuje, że wiara jest matką szczęścia. Matką wszystkich matek szczęśliwych, wpatrzonych w swoje dziecko, wiarą nauczyciela szczęśliwego postęпами swojego ucznia, wiarą twórcy darzonego szczęściem swego dzieła, wiarą każdego, kto w szczęściu potrafi dzielić się radością, wiarą szczęśliwych z wiary w siebie.

Wspólne szczęście, bo wspólnie wypracowane i zdobywane chroni człowieka od bodaj czy nie największego nieszczęścia czucia się szczęśliwym w samotności. Bowiem wierzyć szczęściu, to zarazem i kochać, i w miłości kogoś lub czegoś znajdować i utrzymywać swoją wiarę w szczęściu.

*

Szczęście nie rodzi się też samo z siebie, ale zawsze ma ojca w szacunku i matkę w wierze z miłości. To, z kogo lub czego człowiek jest szczęśliwy pozostaje zawsze we wzajemnym uznaniu i szacunku tak dalece, że niepodobne w tym jakiegokolwiek uchybienie. Zresztą w szczęściu nawet błędy przestają być błędami. Bo przy czci i uznaniu wszystko przesłania miłość jako tożsame szczęście dwojgą osób spowijanych więzią radości z siebie.

Dlatego miłość jest tym, co podaje rękę szczęściu. Chciałoby się

Szczęście



powiedzieć, że miłość to samo szczęście, które znalazło sobie serce i w nim się ostaje. I temu sercu wierzy do tego stopnia, że wszystko w nim i zeń czyni szczęśliwym i przepajającym radością. Szczęśliwa sobą miłość tylko szczęście widzi i doń jedynie się skłania, bo poza nim wszystko inne z jej uczuć znika. Pozostaje tylko jakieś „ja” i „ty”, które jedno drugiemu może wszystko powiedzieć słowem miłości. Tak, wszystko, bo wypełniane radośnie swoim szczęściem.

I to sprawia, że miłość jest szczęśliwa nie dlatego jedynie, że radosna, ale że na radości szczęścia umie poprzestawać i nim dzielić się z życiem. I nie zezwala, by szczęście mogło być smutne, bo nieudzielane z miłości i jedynie samolubnie w swoim „ja” nielubianym przez nikogo, spożywane. Tak, jakby jedynie w tym miało swój smak. A tymczasem szczęście ma to do siebie, że musi się nieustannie zaczynać i zmieniać, by znowu się odnajdywać i od siebie oraz przez siebie zaczynać. I wówczas nie ma miejsca na samotność ani smutek.

Miłość więc nie pozwala zakładać swego szczęścia wyłącznie na własnych uczuciach i obojętnie pomijać szczęście innych lub nawet za nieszczęścia ich obwiniać. Szczęściu obca niechęć, bo miłość w nim wybacza wszystko i niczego w zapamiętaniu nie chowa. A tylko niesie ze sobą przyjaźń znajdujących radość w codziennym spotykaniu się ze szczęściem.

Takie spotkanie odbywa się we współżyciu czyli obcowaniu z sobą ludzi dlatego szczęśliwych, że sobie wzajemnie wierzą, otaczają się przywiązaniem i życzliwością, żyją w przyjaźni. Zaś życie w przyjaźni to przede wszystkim umiłowanie w poczuciu wspólnoty i trwałego powiązania ludzi znajdujących w sobie coś, co stanowi wyłącznie o ich szczęściu osobistym i poza wspólnotą nie do zastąpienia. Dlatego i samą przyjaźnią niepodobna obdzielać się po drogach, gdyż byle spotkanego miłować nie można. W przyjaźni musi się czuć szczęśliwie, a to jedynie możliwe, jeśli się ze sobą na równi i we wzajemnym uznaniu współżyje.

Coś w szczęściu sprawia, że nawet „dzwony inaczej dzwonią i rozbrzmiewają na pochówku przyjaciela”. Przyjaźń zatem to samo szczęście pochodne z wzajemności osób oddanych sobie wiarą w niesione wartości, sprawdzone we współżyciu i nim potwierdzone.

W miłości spełnia się uścisk dwóch rąk: przyjaźni i szczęścia. Spełnia się również jedyne miłości życzenie przyjaźni wszystkich do wszystkich. Życzenie przeżywania szczęścia w postępowaniu wspólną drogą ku wspólnemu celowi w radosnych i smutnych dniach. I w tym przyjaźń znaczy więcej niż nawet czyjaś wdzięczność, bo wdzięczność to dług, a przyjaźń, to w miłości tylko z wzajemnej wiary nagradzane szczęście.

Wybór i oprac. E.S.

jest, który stwarzam zło” (por. Iz 45,7). Raz tedy uczepliwszy się myśli, iż Stwórca jest sprawcą zła, oraz rozważając inne jeszcze argumenty, które może nawet zdolne są przekonać kogoś, kto ma przewrócone w głowie, coraz bardziej zaczął się utwierdzać w przekonaniu, że owo złe drzewo, rodzące złe owoce — czyli zło — to nikt inny, tylko Bóg-Stwórca, a skoro tak swój umysł chorobliwą ciekawością, nagle posłyszał, jak t musi istnieć jeszcze jakiś inny Bóg, który by odpowiadał drzewu dobremu, rodzącemu dobre owoce. Ponieważ zaś u Chrystusa stwierdził rzekomo postawę duchową zupełnie odmienną od postawy Stwórcy, polegającą mianowicie na samej tylko czystej dobroci, łatwo już z tego wyciągnął ostateczny wniosek, iż w Chrystusie objawiło się zupełnie nowe, nie znane dotychczas Bóstwo. W ten sposób za pomocą zaledwie odrobiny kwasu zaprawił herezytyckim posmakiem całe ciało wiary.”

Wśród tekstów patrystycznych o gnostycyzmie na uwagę zasługuje także tekst Ireneusza z Lugdunum: „W Azji szerzył swą naukę niejaki Cerynt. Głosił on, że świat jest dziełem nie najwyższego Boga, lecz jakiejś Mocy zupełnie odrębnej i o całą przepaść niżej od Pierwszej Przyczyny wszechrzeczy, a przy tym w ogóle nie znajdującej transcendentnego Boga. Jezus nie zrodził się według nich z dziewicy — gdyż to rzecz niemożliwa — lecz był synem Józefa i Maryi, poczętym tak samo jak wszyscy ludzie. sam Stwórca oświadcza: „Jam przewyższającym ich tylko sprawiedliwością, roztropnością i mądrością. Po chrzcie zstąpił na Niego w postaci gołębicy Chrystus, pochodzący od Pierwszej Przyczyny wszechrzeczy; pod jego wpływem Jezus zaczął opowiadać o nieznanym Ojcu i czynić cuda. W końcu jednak ów Chrystus opuścił Jezusa, a wówczas Jezus został umęczony i zmartwychwstał; sam Chrystus, jako istota duchowa, nie podlegał cierpieniu. (...)”

Natomiast Klemens Aleksandryjski pisał: „Podobnie więc jak pycha i zarozumiałość filozofów zohydziły w opinii filozofię, tak samo prawdziwą gnozę fałszywa gnoza, nosząca tę samą nazwę. O niej to pisząc Apostoł mówi tak: O Tymoteuszu, strzeż tego, co ci powierzono unikając światowej puste gadaniny i przeciwstawnych twierdzeń domniemanej wiedzy, jaką niektórzy głosząc nie ostali się w wierze (1 Tm 6, 20-21)”.

Prezentowane teksty pozwalają odnieść refleksję do współczesnych form gnostycyzmu. Młode chrześcijaństwo, odrzucając gnozę jako herezję, rozumiało gnostycyzm jako niechęć do świata i ludzi, przybierającą postać miłości abstrakcyjnych idei.

SYMPOZJUM NAUKOWE

z okazji 70 rocznicy odzyskania



Słowo wstępne na Sympozjum naukowym poświęconym 70 rocznicy odzyskania niepodległości wygłosił Pierwszy Biskup Tadeusz R. Majewski



Postanienie od Przewodniczącego Rady Państwa — Gen. Armii Wojciecha Jaruzelskiego odczytał dyr. dr Grzegorz Rydlewski z Urzędu do Spraw Wyznań.

W dniu 18 listopada 1988 roku w sali synodalnej im. Biskupa Fr. HODURA w Warszawie, przy ul. Szwoleżerów 4 odbyło się sympozjum naukowe poświęcone 70 rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości.

W słowie wstępnym Pierwszy Biskup Tadeusz R. MAJEWSKI m.in. powiedział:

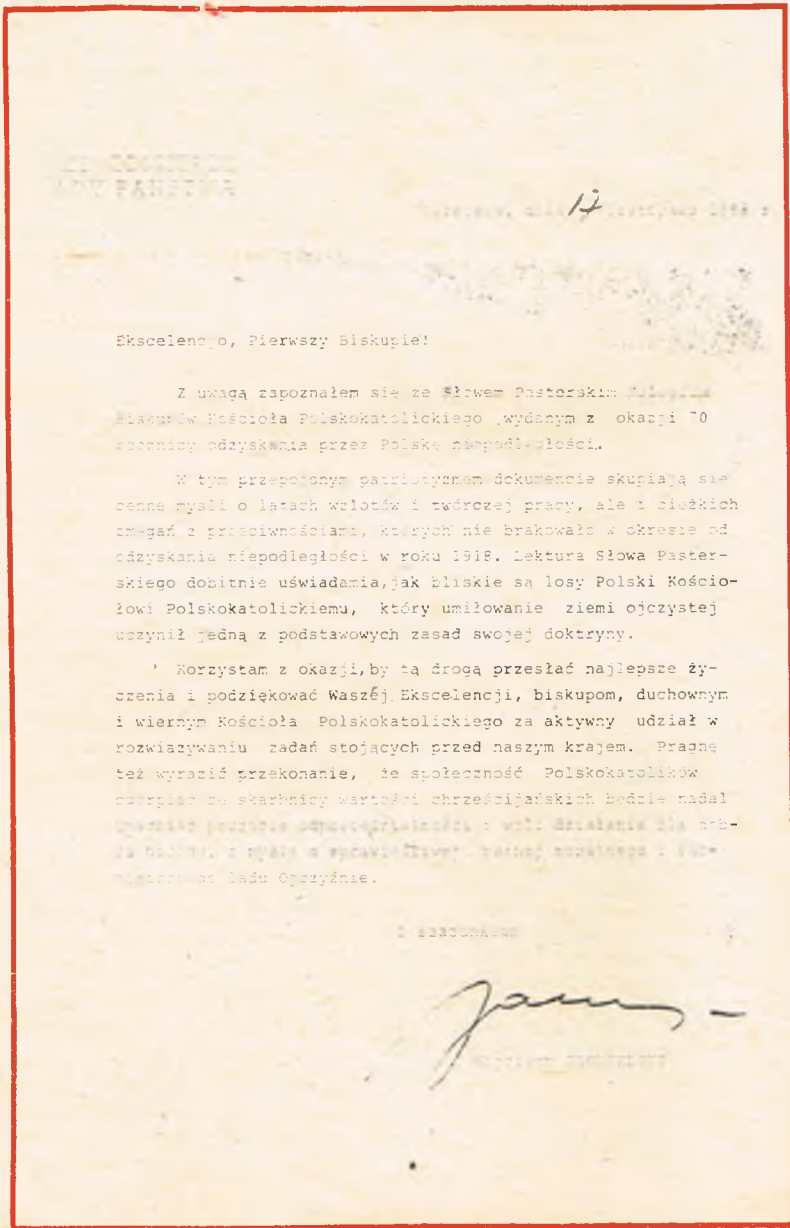
„Z całym Narodem Polskim, ze wszystkimi Rodakami rozszanymi po całym świecie, Kościół Polskokatolicki obchodzi 70-tą rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. Po dziękczynnym nabożeństwie odprawionym w intencji Ojczyzny — Polski w katedrze warszawskiej, otwieram uroczystą, poszerzoną Sesję Rady Synodalnej i sympozjum naukowe poświęcone tej historycznej rocznicy. Podczas tej Sesji w pierwszej kolejności pragniemy oddać hołd bojownikom o wolność Polski, żołnierzom Legionów i błękitnej armii, uczestnikom Powstania Wielkopolskiego i powstań śląskich, obrońcom Ojczyzny z 1920 roku, mężom stanu, którzy oddali największe zasługi sprawie odrodzenia państwa polskiego, zwłaszcza: Józefowi Piłsudskiemu, Romanowi Dmowskiemu, Ignacemu Paderewskiemu, Ignacemu Daszyńskiemu i Wincentowi Witowskiemu.

Rok 1918 stanowi wyjątkową datę w tysiącletniej historii Polski. Po 123 latach ciężkiej niewoli naród polski rozdarty przez trzech zaborców odzyskał wolność i w stosunkowo krótkim okresie stworzył państwo sprawne administracyjnie, politycznie i gospodarczo.

Obecnie Polska stoi w obliczu historycznego zwrotu. W Kraju naszym dokonują się zasadnicze zmiany polityczne i gospodarcze, których celem jest naprawa Rzeczypospolitej, przełamywanie stanu niemożności, stagnacji i apatii. W tym dziele Polsce potrzebna jest narodowa zgoda. Wypracowaniu wspólnego stanowiska wobec najważniejszych spraw naszej Ojczyzny powinny służyć spotkania reprezentantów różnych środowisk, a więc spotkania ludzi o różnych poglądach politycznych, a także przedstawicieli Kościoła Rzymskokatolickiego i Kościołów Nierzyskokatolickich zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej oraz innych Kościołów i związków wyznaniowych — złączonych troską o przyszłość Polski i Polaków. Na wszystkich bowiem obywatelach spoczywa obowiązek o dobro Polski i o jej miejsce wśród wolnych narodów świata.

Listopad 1988 roku dla Narodu Polskiego zapisuje się szczególnym wydarzeniem — obchodami 70-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Jest to przyczynkiem do naszej ciągłości narodowej. W „Słowie Pasterskim” z dnia 1 listopada 1988 r. Kościół Polskokatolicki przez swoich biskupów zaakcentował naszą przeszłość i przyszłość, bo przecież jako synowie tej Ziemi korzeniami potomnych tkwimy w tym Narodzie, którego przyszłość jest nam droga i bliska.

Faktem znamiennym jest, że do wielkiego dzieła nieprzejednanej walki o wolność własnej Ojczyzny stanęła również wielomilionowa rzesza Polaków żyjących z dala od swego kraju na emigracji zarobkowej lub politycznej, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych A.P. Trudno zaprzeczyć, że na dziesiątki lat przed historycznym listopadem 1918 roku tam właśnie wspinali i patriotycznie nastawieni synowie i córki polskiego narodu na różne sposoby walczyli o godne przetrwanie epoki rozbiorowej a potem w czasie okupacyjnej no-



a przez Polskę niepodległości



Fragment stołu prezydyjnego. Od lewej siedzą:
dyr. dr Grzegorz Rydlewski, Metropolita Warszawy i całej Polski Bazyli,
bp doc. dr hab. Wiktor Wysoczański.



Widok ogólny sali

cy walczyli dzielnie na wszystkich frontach II wojny światowej, nie mało przyczyniając się do zwycięstwa armii sojusznicznych.

Jako wierni Kościoła Polskokatolickiego możemy być dumni i z tego powodu, że jednym z czołowych rzeczników wolnej i suwerennej Polski był organizator Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego — Biskup Franciszek Hodur, wielki ksiądz i patriota, który tuż po odzyskaniu niepodległości historyczne swe dzieło przeniósł do ojczyznanego kraju, by mogło pomyślnie rozwijać się na rodzimym gruncie. Odtąd bowiem dążenie do niezawisłej Ojczyzny sprzęgło się nierozdzielnie z dążeniem do rozwijania się w Polsce Kościoła niezawisłego od obcych wpływów.

Trudno przy tej okazji nie wspomnieć o tym, że daleko przed uchwałami II Soboru Watykańskiego Biskup Franciszek Hodur do liturgii kościelnej wprowadził język ojczysty i jako pierwszy budował ołtarze zwrócone ku wiernym. On też zdemokratyzował ustrój polskiego Kościoła na wzór pierwszych chrześcijan, wprowadzając wiele ulepszeń i reform w strukturze instytucji o charakterze religijnym.

Dużo mówi się dziś o ujawnianiu tzw. „białych plam” w naszych dziejach najnowszych. My — polskokatolicy o nastawieniu narodowym — jako dosłownie prześladowani w okresie II Rzeczypospolitej, moglibyśmy nazwać je raczej „plamami czarnymi”, których nikt i nic nie potrafi zatrzeć w naszej pamięci. I chociaż dopiero w warunkach Polski Ludowej Kościół nasz zyskał prawną legalizację i może swobodnie się rozwijać, to jednak niepodobna zapomnieć o cierniowej drodze, jaką przeszli nasi ojcowie broniąc doktryny Narodowego Kościoła we własnej Ojczyźnie, kiedy to na wszystkie dostępne — jakżeż często niegodziwe — sposoby usiłowano zniszczyć historyczne dzieło Biskupa Franciszka HODURA w jego własnej Ojczyźnie.

Fakt, że mimo to od prawie stu lat istniejemy i wraz z całym narodem obchodzimy nie tylko 70-lecie odrodzenia Polski, ale jednocześnie 70-lecie naszej działalności w Polsce, jednoznacznie dowodzi, że chodzi tu nie tylko o dzieło historycznie słuszne, ale jednocześnie, że dziełu temu błogosławi sam Bóg.

Obchodząc zatem 70-lecie odzyskania niepodległości naszego Kraju — starajmy się łączyć nierozdzielnie losy naszej ziemskiej Ojczyzny z religijnym i patriotycznym posłannictwem naszej polskokatolickiej ideologii, która w gruncie rzeczy zmierza do dobra i szczęścia całego narodu, do jego rozwoju i dobrobytu, do zyskania należnego nam miejsca wśród innych narodów świata.

W życiu każdego człowieka są pewne chwile przełomowe w latach późniejszych, bądź przywodzące na myśl wspomnienia przykre i bolesne, a nieraz wręcz tragiczne, bądź piękne, wzniosłe i pełne radosnych uniesień. Takie kamienie milowe zdarzają się również w większych społecznościach, instytucjach świeckich i religijnych, w całych narodach i państwach. Dobry Bóg i nam Polakom pozwolił przeżywać obecnie taką wielką rocznicę, jaką przed 70 laty było odzyskanie przez nasz naród wolności a przez państwo polskie utraconej niegdyś suwerenności. Taką cenzurą w dziejach naszej Ojczyzny był listopad 1918 roku, gdy to historycznym zrządzeniem losu

jednocześnie padły w gruzu trzy otaczające nas mocarstwa zaborcze, co z kolei nam pozwoliło odzyskać niepodległość i znowu znaleźć się na mapie Europy, z której usiłowano raz na zawsze wymazać nazwę Polski, jako suwerennego państwa.

Dzisiejszą uroczystą Sesję Rady Synodalnej i sympozjum naukowe ubogaci referat Pana profesora dr. hab. Michała PIETRZAKA, a także wystąpienie biskupa doc. dr. hab. Wiktora WYSOCZAŃSKIEGO — prezesa Zarządu Głównego Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików.

Mam zaszczyt w imieniu Rady Synodalnej i własnym powitać: Jego Eminencję Wielce Błogosławionego BAZYLEGO — Metropolitę Warszawskiego i całej Polski, Jego Ekscelencję Ks. Adama KUCZMĘ — Superintendenta Generalnego i Prezesa Polskiej Rady Ekumenicznej. Witam serdecznie Jego Ekscelencję Biskupa Zdzisława TRANDEJ, Czcigodnego Księdza doc. dr. Zachariasza ŁYKO i Księżę z Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego.

Witam Ich Ekscelencję Księżę Biskupów, Przewielebne i Wielebne Duchowieństwo i Członków Rady Synodalnej.

Witam bardzo serdecznie reprezentanta zwierzchnika Kościoła Starokatolickiego Szwajcarii — Przewielebnego Księdza P. VOGTA. Witam bardzo serdecznie reprezentanta zwierzchnika Starokatolickiego Kościoła Austrii — Przewielebnego Księdza dr. P. DRONIEWSKIEGO. Witam bardzo serdecznie Księdza dr. Jerzego URBAN-SKIEGO i Panią URBANSKĄ z Kanady.

Witam bardzo serdecznie przedstawicieli władz państwowych w osobach: Dyrektora Generalnego Aleksandra MERKERA, Dyrektora dr. Grzegorza RYDLEWSKIEGO — z Urzędu do Spraw Wyznań. Witam reprezentanta Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „POLONIA”. Witam długoletniego wicedyrektora Urzędu do Spraw Wyznań mgr. Tadeusza DUSIKA.

Witam bardzo serdecznie P. inż. Krzysztofa GAWLICKIEGO — Naczelnego Dyrektora Zakładów Przemysłowo-Usługowych „POLKAT”. Witam serdecznie P. mgr. Małgorzatę KAPIŃSKĄ — Dyrektora Instytutu Wydawniczego im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego.

Witam serdecznie reprezentanta P. Posła Kazimierza MORAWSKIEGO — prezesa Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego.

Witam przedstawiciela Prezydenta Miasta Stołecznego Warszawy. Witam przedstawicieli prasy kościelnej, radia i telewizji, a także wszystkich przybyłych na dzisiejszą uroczystość.

Proszę o zabranie głosu przez P. Dyrektora dr. Grzegorza RYDLEWSKIEGO — reprezentanta ministra dr. Władysława LORANCA — Kierownika Urzędu do Spraw Wyznań.

Dyrektor dr. G. RYDLEWSKI, nawiązując do uroczystości religijno-patriotycznych, obchodzonych przez Kościół Polskokatolicki — odczytał posłanie od Przewodniczącego Rady Państwa — Generała Armii Wojciecha JARUZELSKIEGO.



Ze starych kronik Bolesława PRUSA

Zadziwiająca są meandry dziejów politycznych, gospodarczych, społecznych i kulturalnych różnych narodów. Życie idzie naprzód, rozwija się nauka, technika, przychodzi i odchodzą pokolenia ludzi, a pewne problemy jak bumerang wracają co kilka pokoleń. Jako ciekawostkę przytaczamy dziś naszym czytelnikom fragment z obszernych „Kronik” Bolesława Prusa, a mianowicie z „Nowin”, z 28 stycznia 1883 roku. Pisze tu pan Prus m.in. o tym, „W jaki sposób przystępujemy do spraw ludowych”, o „Sprawie gospodarstw włościańskich”, o „Gieldzie pracy”. Zobaczmy więc, jakie to problemy nurtowały nasze społeczeństwo nieco więcej niż sto lat temu.

Rzecz od dawna wiadoma, że narodu nie stanowią wyłącznie ci, którzy żyją z renty lub procentów, albo ci co czytają lub piszą książki i gazety. Tworzą oni to, co można by nazwać liśćmi społecznego drzewa, które posiada jeszcze gałęzie, pień i korzenie, czyli — klasy pracujące wiejskie i miejskie.

Wprawdzie pan Paweł sądzi, że inteligencja narodu istnieje po to, żeby robiła „postęp”, a pan Gaweł — ażeby podtrzymywała balet i handel ostrygami. Są to jednak fałszywe poglądy. Liście istnieją po to, aby z atmosfery czerpały pokarm dla całego drzewa, a inteligencja ma o tyle rację bytu, o ile z atmosfery cywilizacji potrafi czerpać duchowy pokarm dla całego społeczeństwa.

Gdy inteligencja zrzuca się tej roli, staje się zwiędłym liściem, a drzewo, na którym rośnie — suchym pniem. Rzecz więc prosta, że trzeba myśleć nie tylko o robieniu „postępu”, albo o przypominaniu swoich „historycznych praw”, ale i o tej masie niepostępowej i nie mającej historii, która tworzy klasy pracujące.

Jest to zadanie tak wielkie, a cała nasza inteligencja we wszystkich partiach tak mieliczna, że jej rozdział i walka w tych kwestiach byłaby po prostu występkiem.

Otóż lękam się, że występki ten może być spełniony.

Od kilku lat wysuwa się naprzód kwestia włościan, którzy dzięki uwłaszczeniu osiągnęli czasowo dobrobyt, ale z powodu przyrostu ludności i wadliwej gospodarki mogą — równie prędko — zubożeć. Trzeba więc pamiętać, że wkrótce usłyszymy o kolosalnych długach małej własności itp. (...) Będzie to skutek strasznych błędów w gospodarstwie włościańskim, zaniedbanego domowego przemysłu i — ciemnoty. (...)

Na pokawałkowanie gruntów włościańskich już kilku obywateli zwróciło uwagę, choćby w „Nowinach”. Kwestii jednak nikt więcej nie podnosi, zapewne z tego powodu, że jak prorokuje pewna denuncjacja — „Nowiny” będą, ale to koniecznie będą służyły sprawie rujnowania kraju przez wielkie kapitały!

Dokument ten schowajmy do aktów, czekając na dalsze oszczerstwa. Tymczasem zanotujmy inny fakt.

Nie ma pisma, które by nie narzekało na opłakany stan rzemiosł. Ale jedno tylko pismo, „Inżynieria i Budownictwo” wzięło w ręce kwestię podniesienia ich. Z jednej strony zbiera ono wiadomości o materiałach surowych istniejących w kraju — z drugiej, chce w Warszawie urządzić stałą wystawę wyrobów rzemieślniczych krajowych — z trzeciej, chce wyrobić rzemieślnikom długoterminowy kredyt na narzędzia do pracy.

Czy te zamiary „Inżynierii i Budownictwa” pozyskały należyte poparcie choćby w prasie?... Ja przynajmniej tego nie widzę.

Inny fakt. „Przegląd Tygodniowy” podobno myśli o urządzeniu popularnych odczytów dla rzemieślników. Projekt godny najwyższej pochwały. Dlaczego jednak dotychczas nie ogłoszono tematów, nie podyskutowano o nich, dlaczego w końcu nie dowiedziano się, czy i poza obrębem redakcji „Przeglądu” nie ma osób chętnych do tego rodzaju odczytów? Nie rozumiem. Przypuszczam, że chyba projekt spotkał przeszkody, albo nie jest jeszcze o tyle wypracowany, ażeby można go było poddać uprzedniemu sądowi. Jakkolwiek bowiem parlamentaryzm niekiedy paraliżuje czyny, lecz z drugiej strony, sprawy tak doniosłej nie należy chować pod kocem i warto posłuchać cudzych zdań, które mogą przynieść niejedną dobrą uwagę.

Dalej. „Ekonomista” w nrze 1 rzucił projekt utworzenia „gieldy pracy”. W projekcie chodzi o to, ażeby można było utworzyć instytucję, w której znajdowałyby się wiadomości o wszystkich nie zajętych posadach i o pracownikach szukających pracy, przy czym naturalnie, zawiązywano by układy o wynagrodzenia.

Ze projekt nie jest idealny, świadczy o tym chociażby — zdaje mi się już zwinęte — Biuro dla Szukających pracy. Ale żeby zasługiwał na potępienie, jakie z nim zrobiono w paru pismach, to już jest dziwne.

Przypatrzmy się bowiem anarchii w naszych stosunkach ekonomicznych, przypomnijmy sobie owe poszukiwania specjalistów za granicą i jednocześnie marnowanie się specjalistów krajowych. Przypomnijmy to mnóstwo ludzi szukających zajęcia, to mnóstwo interesów wydzieranych nam przez firmy zagraniczne, tych rodziców, którzy nie wiedzą, do jakiego fachu sposobić dzieci, i nareszcie — niektóre gałęzie pracy zapełnione w niektórych miejscowościach tak, że samo przeludnienie wywołuje nędzę i objawy demoralizacji!

Wszystko to razem wzięte dowodzi, że u nas w stosunkach ekonomicznych, osobiście pracowniczych, panuje chaos, a naprzód z tego powodu, że — wcale ich nie znamy. Potrzebną by więc była jeżeli nie „gielda”, to przynajmniej „biuro statystyczne” prac, pracowników i pracodawców.

Nieszczęściem, „krytyka” nie mogła dojrzeć w owej „gieldzie pracy” przede wszystkim — potrzeby tego rodzaju statystyki, a nawet zarzuciła „Ekonomiście” chęć „zatrucia krwi biednego ludu” „gorączką zarobku” i „wygnania do reszty z naszego kraju poczucia uczciwości i obowiązkowości...”

Tak więc ułatwienie w wyszukiwaniu pracy nazywa się „zatrucaniem krwi”, a znajomość stanu pracy w kraju — „wygnaniem uczciwości i obowiązkowości”!... I to się pisze publicznie w organie, który odważa się twierdzić, że on jeden walczy z wyzyskiem, którego przecie fundamentem jest nieznajomość ekonomicznych stosunków!...

Na taką „gieldę pracy” zgłaszałyby się przede wszystkim pracownicy, a kto wie, czy unikaliby jej pracodawcy. Rzecz prosta, bo jawność wskazałaby ludziom, które fache są zapełnione, a które nie zajęte i w rezultacie — bodaj czy nie wpłynęłaby na emigrację robotnika z jednych fachów i na podwyżkę wynagrodzeń w innych. Zapewne i tam mogłyby się zdarzać nadużycia, jak na wszelkich innych giełdach.

Ale niechże nie twierdzą, że jedna jawna „gielda pracy” mogłaby wyszukiwać robotników bardziej, niż tysiące ukrytych, jakie dziś są.

Oto kilka faktów z ostatnich dni, które już wskazują w jaki sposób inteligencja nasza będzie informowana o sprawach, dotyczących dobrobytu ludowego. Cokolwiek kto pomyśli, cokolwiek kto zrobi dobrego, zaraz partia przeciwna albo zabije to milczeniem, albo zechce podkopać insynuacjami.

I inaczej być nie może tam, gdzie duch obywatelski tak twardo zasnął, że już nawet mizerne ambicje i osobiste antypatie śmiało utożsamiać siebie z interesem publicznym...

Obudźże się, opinio!... bo gotowi cię jeżeli nie zabić, to przynajmniej obedrzeć z resztek rozsądku!...

Wybór i oprac. ed.

Przeciww samotności

Towarzyszy nam czasem głębokie poczucie bezradności. Jednak rezygnacja z walki o siebie, o lepszy świat jest udziałem tylko ludzi żyjących „z dnia na dzień”, tych, którzy zatracili poczucie własnej niezależności, a przy tym zamknęli się dla innych. A przecież otaczający nas ludzie, bodźce napływające ze świata zewnętrznego to stymulatory naszych postaw, motywacji dla naszego rozwoju. Aktywizujemy się, podejmujemy trud pracy nad sobą, także dzięki innym. Związki między ludźmi powinny zapewniać poczucie satysfakcji, szczęścia, jednak dobrze wiemy, że nie zawsze tak się dzieje.

Wiele naszych działań jest często jakby zaprogramowanych, automatycznych, pozbawionych elementu autentyczności, spontaniczności. Sytuacja taka staje się zawsze głęboko frustrująca i ograniczająca nasze naturalne dyspozycje rozwojowe. Współistnienie z innymi, zwane umownie przystosowaniem niesie tyl-

ko połowiczne doświadczenia naszego „ja”. Pełne zaistnienie to takie, w którym doznajemy przeżyć spowodowanych także „nieprzystosowaniem”. Określane jest ono „nieprzystosowaniem pozytywnym”. Od nas zależy, czy konflikt wynikający z owego zderzenia ze światem zewnętrznym będzie rozwojowy, konstruktywny dla obu stron, czy też zagrażający, zniechęcający.

Paradoksalne jest to, że zarówno postawa całkowitego przystosowania do zastanego środowiska społecznego, jak i nacechowana egocentryzmem, ucieczka od ludzi, prowadzi do tej samej sytuacji: poczucia osamotnienia i niezadowolenia z siebie. W jednym i drugim przypadku ma bowiem miejsce ucieczka przed autentycznym, „pełnym” spotkaniem z drugim człowiekiem, innymi ludźmi, a tym samym i prawdziwym spotkaniem z samym sobą.

Jednym z najcięższych emocjonalnych doświadczeń jest przenikliwe uczucie osamotnienia,

jakiego wielokrotnie doznajemy. Każdy czas stawia do przezwyciężenia inne problemy, jednak ich natężenie w naszych czasach stało się szczególnie silne. Zachwiały się systemy wartości, rozluźniły struktury społeczne. Psychologiczny koszt takiego stanu rzeczy sprawia, że nasze życie staje się czasem trudne do udźwignięcia.

Czy może pomóc w tych trudnych sytuacjach, przynajmniej w pewnym stopniu drugi, bliski człowiek? Relacjom emocjonalnym między nami a drugą osobą zawsze towarzyszyć musi poczucie odpowiedzialności, czyli gotowości niesienia pomocy w sytuacjach choćby tylko subiektywnie trudnych, jako obecność — gdy jest ona rzeczywiście potrzebna. Z tak rozumianej odpowiedzialności nie możemy zwalniać się nigdy, usprawiedliwiając to jakimikolwiek okolicznościami. Odpowiedzialni powinniśmy się czuć już na etapie rodzenia się przyjaźni, miłości.

„Stworzyć więzy” to zdobyć i utrwalić zaufanie, to wziąć odpowiedzialność za rozwój przyjaźni, która nie może być jednostronna. Nie unikniemy w życiu sytuacji powodujących napięcie, stres, lęk, poczucie bezsensu... i wtedy musimy znaleźć w sobie siły do sprostania sytuacji dezintegrującej, niszczącej. Co więcej, to od nas zależy czy ta trudna sytuacja wzbogaci nas i wzmocni. Ogromne są bowiem możli-

wości rozwojowe i tak zwana „naturalna mądrość organizmu”, ogromna jest siła instynktu samozachowawczego uruchamiającego konieczne mechanizmy obronne w sytuacjach trudnych. Czasami tylko dyspozycje te zawiodą, zgoda na takie życie jest aktem wyczerpującym na tyle, że funkcjonujemy na „poziomie” o wiele za niskim w stosunku do możliwości.

Ponieważ sami doświadczamy trudnych momentów w życiu, ponieważ zdarza się, że inni oczekują od nas pomocy i wsparcia, warto zastanowić się, jak można pomóc sobie i innym ludziom w stawianiu się silniejszym, jak zdobyć umiejętności radzenia sobie z różnymi problemami.

Pomóc komuś to znaczy sprawić, by był w stanie sam sobie pomagać w przyszłości, sprawić by był w stanie kierować swoim rozwojem zgodnie z jego rzeczywistymi pragnieniami i potrzebami. Pomóc komuś to znaczy wzmocnić pozytywnie, wskazując na jego mocne strony, przywrócić mu wiarę w siebie, przyzwolić na otwarcie i autentyczność w atmosferze zaufania i akceptacji. Tak rozumiana pomoc jest zaprzeczeniem manipulowania, uzależniania, kierowania drugą osobą, podejmowania za nią decyzji, wymuszania takiego sposobu postępowania, który nam wydaje się dobry.

E.S.

Kultura pedagogiczna

Metoda racjonalnej opieki, konsekwentnego postępowania i racjonalnych wymagań rodziców w stosunku do ich dzieci jest jak gdyby nadrzędną w stosunku do wszystkich metod wychowania, gdyż jej określenie wskazuje niejako na podstawowe zasady i sposoby prawidłowego ich stosowania. Racjonalne wymagania i konsekwentne postępowanie muszą być również podstawowymi metodami stosowanymi w działalności opiekuńczej, jeśli ma stanowić metodę wychowania. Ową złożoną metodę, ze względu na jej wagę i znaczenie w procesie wychowania można zacząć omawiać, zaczynając od zrozumienia terminu „opieka”.

O zakresie metody opieki i sposobie jej stosowania w praktyce wychowawczej stanowi w znacznym stopniu sposób rozumienia opieki i działalności opiekuńczej. Opieka jest pojmowana w ogólniejszym sensie jako troszczenie się, dbanie o kogoś czy o coś. Bardziej szczegółowe znaczenie terminu „opieka” trudno jest przedstawić, nie ma bowiem jeszcze opracowanej ogólnej teorii opieki. Do tego, aby słowo „opieka” było bardziej komunikatywne, nie-

zbędne jest dodatkowe określenie specyfikujące. Można mówić przecież o różnych formach opieki — np. używa się określeń typu „opieka pełna”, „opieka zastępcza”, „opieka zdrowotna” czy „opieka prawna”. Lista określeń uściągających pojęcie „opieka” może być o wiele szersza — w zależności od tego, o jaką opiekę nam chodzi. W interesującej nas tu działalności opiekuńczej pojmowanej jako metoda wychowania — chodzi o prawidłowe sprawowanie opieki nad dziećmi w rodzinie.

W dzisiejszych czasach, w celu odciążenia rodziców zaabsorbowanych pracą zawodową i społeczną, wiele czynności opiekuńczo-wychowawczych przejmują specjalnie do tego powołane instytucje społeczne: żłobki, przedszkola, szkoły. Przy wszystkich jednak korzystnych warunkach, jakie stwarza się współczesnej rodzinie, istnieją dziedziny, w których opieka jej jest w dalszym ciągu nie do zastąpienia i to, jak rodziny wywiązują się z tych swoich zadań — jest sprawą wagi ogromnej. Chodzi bowiem o zapewnienie dzieciom odpowiednich warunków materialnych, stworzenie im do-

stępu do różnorodnych dóbr — przedmiotów, osób, sytuacji w taki sposób, aby dobra te zaspokajały różnorodne potrzeby dziecka związane z prawidłowym rozwojem jego osobowości. Do najważniejszych zadań opieki nad dzieckiem w rodzinie należy zaspokajanie jego potrzeb emocjonalnych, potrzeby bezpieczeństwa i miłości, przynależności do grupy oraz wprowadzanie w kulturę. Opieka właściwie pełniona przez rodziców rozbudza aktywność własną dziecka, wiąże je emocjonalnie z wartościami kultury, urabia odpowiednio postawy dziecka wobec pracy, nauki, wolnego czasu i działalności społecznej.

Podstawowe zadania rodziny w dziedzinie opieki nad dzieckiem znalazły odbicie w kodeksie rodzinnym i opiekuńczym. Potrzeby, dążenia, postawy życiowe pozostają pod wpływem rodziny nie tylko w okresie dzieciństwa, lecz także w okresie dorastania i znacznie później. Obowiązek rodziny dotyczący sprawowania opieki nad dzieckiem zakłada więc, że spoczywa na niej obowiązek stwarzania dzieciom wartościowych (pod względem wychowawczym) warunków rozwoju przez od-

powiednią organizację życia w rodzinie, wysoką kulturę różnych form działalności wychowawczej i metod wychowania.

Należy jednak stwierdzić, że opieka rodziców nad dziećmi w obecnych czasach nie jest sprawą łatwą. Trudności wynikają m.in. z dość często spotykanego faktu, że pracę zawodową wykonują oboje małżonkowie, z intensywnego oddziaływania różnorodnych bodźców, wywołujących stan zmęczenia i napięcia psychicznego. W tej sytuacji otoczenie dzieci odpowiedzialną opieką i właściwie rozwiązywanie organizacji życia w rodzinie wymaga od nich szczególnie dużej koncentracji i wysiłku woli. Oprócz tego, do zapewnienia dzieciom racjonalnej opieki nie wystarczy już obecnie samo doświadczenie i dobre chęci, ani schematyczne stosowanie naukowych zasad wiedzy o rozwoju dziecka. Rodzicom potrzebna jest umiejętność dostrzeżenia i rozumienia prawidłowości znamienych dla kształtowania się osobowości dziecka w konkretnych sytuacjach i warunkach swego otoczenia oraz muszą posiadać oni dużo wiedzy fachowej i dużo cierpliwości. To wszystko razem składa się na pewną kulturę pedagogiczną, kulturę, którą racjonalnie i konsekwentnie stosowana — przyniesie najlepsze efekty w dziedzinie procesu wychowawczego.



Stanisława Marchewka — mieszkanka wsi kurpiowskiej — przy pracy nad wycinanką



Sztuka łowicka

Szklane gabloty muzeów etnograficznych zawsze budziły zainteresowanie turysty. Zachowane stroje regionalne, hafty, wnętrza tradycyjnych chłopskich chat i narzędzia pracy pozwalały w wyobraźni przynajmniej odtworzyć to, co minęło. Klimat dawnej łowickiej wsi, atmosferę wiejskiego wesela czy innego charakterystycznego dla danego regionu obrzędu. Ile z nich przetrwało do dziś? Niewiele.

Wieś zmieniła swoje oblicze, stała się bardziej „miejska”, „cywilizowana”. Wymogi czasu nakazały jej nadążyć za nowoczesnością, więc przywdziała nowy strój i... straciła tożsamość.

W procesie społecznych i kulturowych przewartościowań nowe wyparło stare, i może nie byłoby powodów do narzekań, gdyby nie fakt, że nie zawsze z najlepszym skutkiem.

Jak w tej sytuacji miała się znaleźć sztuka i tradycja ludowa, jakie zająć miejsce w obliczu agresywnych i atrakcyjnych na pierwszy rzut oka form kultury masowej?

By dać odpowiedź na to pytanie należałoby najpierw wyjaśnić zakres przytoczonych pojęć. Otóż po pierwsze: określenie „sztuka ludowa” może oznaczać wszelką twórczość przedstawicieli warstw, które umownie nazwano ludem. Przy czym chodzi tu zarówno o twórczość zgodną z przyjętymi konwencjami artystycznymi, której granice zostały wyznaczone przez normy zbiorowe, jak też i działalność artystyczną o charakterze indywidualnym. Może być także inne rozumienie wspomnianego terminu, kiedy mówiąc o sztuce dawnej, a więc spójnej, opartej o tradycję i autorytety — pojęcie twórczości ludowej będziemy rozumieć jako działania w ramach norm zbiorowych, a wszelkie przejawy indywidualnej twórczości traktować jako przejaw aktywności spontanicznej, prymitywnej czy amatorskiej.

Ponadto z socjologicznego punktu widzenia można tę sztukę podzielić na dawną, będącą produktem ludowej, odrębnej kultury oraz nową, „skażoną” niejako w procesie urbanizacji wsi i wynikającymi zeń społecznymi konsekwencjami. I tu trzeba sobie powiedzieć: czy sta, tradycyjna sztuka ludowa rozumiana jako niezbędne ogniwo ludowej kultury, podstawowy czynnik integrujący i wyróżniający grupę, należy już — niestety — do przeszłości. Toteż jeżeli nawet w niektórych regionach kraju (na Kurpiach, Podhalu czy na Kaszubach) można jeszcze dostrzec wyraźne przejawy tej kultury, gdzie indziej będzie ona już zanikac, znajdując orędowników jedynie wśród ludzi bardzo leciwych. Młodzi — zafascynowani nowoczesnością — na ogół nie doceniają wartości tradycji, a w każdym razie podchodzą do niej wybiórczo, akceptując jedynie te elementy, które w jakiś sposób dadzą się pogodzić z kulturą masową, popularną. Kulturowanie zatem tradycji tak w sferze obyczaju, jak i sztuki w rejonie Podhala czy Kaszub tłumaczyć należałoby przede wszystkim silnie rozwiniętym poczuciem własnej wartości mieszkańców tych ziem, w przeciwieństwie do innych nielicznych terenów, gdzie obecność tradycji wynika z niskiej świadomości zachodzących przemian, chociaż biorąc pod uwagę bieg czasu, zjawisko to możemy zaliczyć do zanikających.

W obliczu rozwoju cywilizacyjnego i zdominowania polskiej wsi przez kulturę, czy raczej pseudokulturę masową, nie mówiąc już

o powszechnym dostępie do mass-mediów, zachowanie wspomnianych enklaw na Podhalu, Kaszubach czy Kurpiach wydaje się szczególnie ważne. Kultura regionalna była i jest przecież częścią kultury narodowej i jako taka powinna podlegać społecznej i instytucjonalnej ochronie. Toteż jeśli nawet bieg czasu eliminuje niektóre obyczaje, zwłaszcza te, które funkcjonowały w odniesieniu do życia jednostki, byłoby dobrze ocalić przynajmniej wszystko to, co wynika z potrzeby kontynuowania twórczości ludowej bez względu na to, czy jest ona dziełem profesjonalisty czy amatora. Zwłaszcza, że w wielu regionach można jeszcze natknąć się na przejawy czystej, „nie skażonej” twórczości, jakkolwiek w przeciwieństwie do dawnych, minionych lat jest ona bardziej nastawiona na zaspokajanie potrzeb miasta niż własnych.

Nie można ponadto zapominać, że sztuka ludowa amatorska czy profesjonalna podlega również panującej modzie, która nakazuje mniejsze lub większe odstępstwa od form tradycyjnych, chociażby w sferze kolorystyki, wzornictwa. W wyniku podobnych „zabiegów” powstają często wytwory przerysowane, preferujące tematykę konwencjonalną lub formy stylizowane wychodzące z pracowni artystów odpowiadające określonym normom.

Nie sposób również nie zauważyć, wpływu, jaki wywiera na formę jej przeznaczenie. W wielu przypadkach dawne funkcje użytkowe niektórych wytworów zostały zastąpione ozdobnymi, kultowe — symbolicznymi itp. Dotyczy to głównie ceramiki czy religijnej rzeźby ludowej.

Pewnym zagrożeniem dla ośrodków ludowego rzemiosła może być postępujący rozwój reprodukcji autentyków ludowych. Odpowiada on wprawdzie zapotrzebowaniu odbiorcy, zwłaszcza zagranicznego, ale z drugiej strony skazuje na masowość, niebezpieczną nawet przy wysokiej jakości. Wydaje się bowiem, że prawdziwym niezaprzeczalnym atutem sztuki ludowej jest jej rękodzielniczy charakter. Przepuszczam, że dla wielu osób długo jeszcze będzie miał on znaczenie decydujące.

Cóż zatem: zmierzch czy renesans sztuki ludowej? Wydaje mi się, że dokonujący się w latach osiemdziesiątych spontaniczny powrót do historii i tradycji pozwala tu na pewien optymizm. Przepuszczam, że postępująca dewaluacja specyficznych dla polskiej wsi wartości w gruncie rzeczy uświadomiła mieszkańcom ich znaczenie i niezbędność. Cywilizacja nie musi przecież oznaczać oderwania od korzeni, a nowoczesność — choćby najatrakcyjniejsza — godzić w wartościowe tradycje. Tym bardziej, że zarówno one, jak i praca decydują o podmiotowości jednostki i społeczeństwa. Ponadto — jak sądzę — tradycje kulturalne wsi, w tym również twórczość ludowa, stały się ponownie czymś poszukiwanym, odradzającym wewnątrz. Wydaje mi się, że szczególnie dzisiaj u schyłku lat osiemdziesiątych wieś polska pragnie wyrazić siebie, tym bardziej, że sfera potrzeb materialnych w postaci przedmiotów codziennego użytku może pozostać nie w pełni zaspokojona.

W tej sytuacji sztuka i twórczość ludowa, a także penetracja dawnych tradycji mogą okazać się szansą dla wielu — w sensie nie tylko komercyjnym. Także jako antidotum na nie spełnione nadzieje pokładane w cywilizacji.

Pani śliczna, Gromniczna

W nocy, kiedy ciemność wzrasta
ukazała się Niewiasta
w srebrnej szacie, w blasku cała,
jakby czegoś od nas chciała...

W blasku świecy cicho stoi,
nawet wilków się nie boi.
W ziąb lutowy zmarznąć może,
strasznie zimno jest na dworze.

Patrzy w okna, nawołuje...
Czy się ktoś nad Nią zlituje?
— Ludzie mili, przez Chrystusa,
mieście litość, dla Jezusa!

Co robicie, ludzie drodzy?!
Wy, duchowo tak ubodzy,
obojętni na los świata,
nie obchodzi was los brata?!



Wy grzechowi hołdujecie,
przez to źle jest tak na świecie!
Czyż wierzycie w moc szatana,
zamiast wielbić swego Pana?!

Proszę was, o litość błagam,
nie dla siebie, ale dla was!
Więc pomyślcie, co czynicie,
bo straciecie swoje życie!

Życie nie to tu, doczesne,
ale życie Boże, wieczne!
Szatan chwyci wasze dusze!
Jeszcze czas na życie w skrusze!''

Odpłynęła gdzieś Niewiasta,
w stronę nieba, może miasta?
Tylko świeca stoi biała
(może ona tak wołała?).

Czyżby przyszła tu Gromniczna
Pani szczodra, Pani śliczna
i przemówić do nas chciała?
Poruszyła dusze, ciała

Serca i umysły wszystkie.
Słowa Jej tak były bliskie!
Dziś, w lutowy dzień skupienia,
niech poruszą się sumienia.

MALGORZATA KAPİŃSKA

rodzina
— dzieciom
TYGODNIK KATOLICKI

Eugenia Kobylińska



(36)

Każdy chciałby żyć w pamięci swoich rodaków. Mnie też bardzo obchodzi Polska. A niedawno, właśnie w listopadzie, dowiedziałem się o życiu ojca Jana Beyzyna. Był to apostoł trędowatych, na Madagaskarze, Polak. Umarł w roku 1912, bo zaraził się trędem. Święty to był człowiek i wspinał się na jego życie. Poświęcił się dla ludzi najniezwyklejszych na całym świecie, zbudował dla nich z polskich składek, które z trudem wyprosił, ogromny szpital. Stoi on dotychczas i wszyscy dziwią się, że tak dobrze urządzony. Żałowałem bardzo księdza Beyzyna, że nie mógł umrzeć w Polsce. Było mnie przykro, że nie zbudował w Polsce tego szpitala na jakie inne choroby. To jest taka zazdrość, że nagle pokochał Madagaskar. Ja wiem, że te trędowate są najniezwyklejsze i ojciec Beyzym to święty człowiek, ale ja nie jestem święty i chciałbym przede wszystkim dla Polski pracować. Chcę się uczyć, żeby mądrze pracować i wszystko wiedzieć, bo nie wiedząc można

omylić się, co nie dać Boże. Takie to myśli dał mnie listopad, o których tu powiedziałem.

Potem Żynik zmienił „te trędowate” na „ci trędowaci”, „możno” na „można” i dowiedział się, że zrobił duże postępy i pani jest z niego zadowolona. Z ogromną ulgą usiadł i czekał na uwagi kolegów. Na razie była chwila ciszy. W szarej klasie, wśród zamazanych szyb, natłoczonych ludzkich oddechów i pracowitej codzienności wykwił przed oczyma sztabaków daleki Madagaskar. Każdy w tej wizji dostrzegał piękno tylko jego oczom dostępne, każdy pod innym kątem widział błękitność i migotanie swojego marzenia, ale wszyscy zwolennicy Madagaskaru sprężyli się nagle do walki o nieuchwytną wyspę, cudowny etap awanturycznej wyprawy. To, że siedzieli tu jacyś obcy, stało się im obojętne. Żynik obraział coś w ich sercu. Jego spokojne i ostrożne słowa wydały się im krytyką publiczną całej akcji rozpoczętej przez klasę. To sioło otwarcie zakomunikowało o swojej przykrości z tego powodu, że ktoś pokochał Madagaskar. Skrzywdzono ich piękną wyspę, gdzie się spodziewali entuzjastycznego przyjęcia.

Niewidzialny wicher poruszył czupryny pierwszaków. Powiało zemstą i odwetem. Nauczycielka mogła zacierać ręce z radości, bo dwudziestu uczniów domagało się głosu. Atak na Żynika był tak gwałtowny i ostry, że obcy słuchacze obudzili się z sennego odrętwienia. Ba! to się nazywa dopiero wygadana klasa. Co za odważni chłopcy? Jaki temperament. Oto Weltowski zarzucił Olkowi „zaściankowość”. Ba, Weltowski rozumie, co znaczą różne „inteligentne” wyrazy. Weltowski powiada, że gdyby wszyscy Polacy byli Żynikiem, to siedzieliby jak myszy w swoich norach i nie służyli ludzkości. A Polacy zawsze „za naszą i waszą”; Kościuszko też jeździł do Ameryki. Ale, naturalnie, Żynik bałby się morskiej choroby.

Śmiech.

Potem Wojecki. Gada, że wypracowanie jest tchórzliwe. Antypaństwo. Potęga państwa to morze. No, a na morzu są wyspy. Madagaskar to wyspa. Ksiądz Beyzym daje nam przykład, że Polacy bardzo się przydadzą na Madagaskarze. Wprost palcem na to wskazuje. To bardzo brzydko ze strony Żynika, że nie umie jak należy ocenić księdza Beyzyna.

Biedny Olek zachnął się na te słowa. ale musiał cierpieć i słuchać. Pani chciała przeciąć ten zapal mówców, lecz wizytator szepnął jej, że to bardzo ciekawe i że wszyscy chcą posłuchać, choćby nawet całość lekcji miała na tym ucierpieć.

Rzeczywiście to było ciekawe. Listopad dał chłopcom nieoczekiwane myśli. Jakoś dziwnie związane z tematem. Słowo „Madagaskar” wypłuskiwało z dyskusji, niby dzwonna muszla wyrzucona przez podwodny nurt. przez tajemną falę duszy chłopców.

Zrozpaczona pani zapytała, co to ma za związek z listopadem i zaraz dostała wyjaśnienie od małego Kowaleckiego. Odczytał on nawet część swego wypracowania.

— „Listopad, miesiąc niebezpieczny dla Polski, każe myśleć o wielkich czynach. Ale że to miesiąc ciemny, dżdżysty i wilgotny, zaczynamy wtedy tęsknić do jasności i słońca. Widzimy przed oczyma gaje bambusów i pyszne kwiaty, na przykład orchidee. Wydaje się, że widzimy palmy chwające się nad morzem. A morze bliższy od słońca, aż oczy bolą patrzeć. I mimo woli myślimy o okręcie, na którym mamy uciekać od smutnego listopada. Wymyśliłem dla mego statku nazwę: Diamentowy wiatr.”

— Czy wy chcecie z Polski uciekać? — zapytała strapiiona pani. — Tu musi być miejsce waszej pracy teraz i zawsze. I tej pracy jest u nas po uszy! Dokąd uciekacie?

cdn



Rozmowy z Czytelnikami

„Zastanawiam się często nad tym — pisze p. Stanisław K. z Hrubieszowa — dlaczego ludzie są tacy źli? Dlaczego prowadzą wojny, mordują, kradną, kłamią, myślą wyłącznie o sobie? Często kosztem bliźniego. Skąd się biorą takie wynaturzenia, jak prostytucja, homoseksualizm i inne? Przecież większość ludzi uprawiających te praktyki wywodzi się z rodzin chrześcijańskich... Jak więc można to pogodzić z zasadami moralności chrześcijańskiej? Nic więc dziwnego, że zaczęły mnie ogarniać coraz większe wątpliwości, aż wreszcie zwątpiłem w istnienie Boga... Bo gdyby rzeczywiście istniał, nie dopuściłby przecież do takich strasznych zwyrodnień niektórych ludzi.

Po pewnym czasie otrzymałem od mojej mamy „Biblię Tysiąclecia"... Zacząłem ją czytać; początkowo bez specjalnego zain-

teresowania, lecz powoli treści tej książki wciągała mnie coraz bardziej. Do tej pory przeczytałem sporą część Starego i większość ksiąg Nowego Testamentu. Lektura ta pozwoliła mi odzyskać wiarę w Boga, lecz nie rozwiała moich wątpliwości. Co więcej. Zacząłem wątpić, czy chrześcijaństwo jako całość jest takie, jakiego chciał Pan Jezus...

Nie ma chyba przykazania, którego nie łamałoby wyznawcy Chrystusa. Nawet katolicy i prawosławni łamią zakaz Boga, zawarty w słowach: „Nie uczynisz sobie posągu ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko albo na ziemi nisko, lub w wodzie poniżej ziemi” (Pwt 5,8-9a)... Tymczasem oddawanie czei figurom i obrazom świętych jest nieprzebraniem tego przykazania. Ponadto Chrystus powiedział: „Ja jestem drogą i prawdą i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca, jak tylko przeze mnie” (J 14,6). Zaś Apostoł uczy: „Jeden jest Bóg; jeden też pośrednik między Bogiem a ludźmi, człowiek, Chrystus Jezus” (1 Tm 2,5).

Z czasem wątpliwości moje w związku z postępowaniem niektórych chrześcijan pogłębiły się. Doszedłem więc do przerażającego wniosku, że również do współczesnego chrześcijaństwa odnoszą się słowa Zbawiciela: „Nie jest dobrym drzewem to, które wydaje zły owoc...” (Łk 6,43a). Zatem te uczynki to owoce złego drzewa, które „będzie wycięte i w ogień wrzucone” (Łk 3,9b)...

W związku z tym uważam, że koniecznie musimy wrócić do nieskażonej wiary i postępowania pierwszych chrześcijan, odrzucając naleciałości wieków późniejszych... Jak zgubny wpływ

naleciałości te miały na chrześcijan, widać z historii i z czasów współczesnych. Dotyczy to również mnie, gdyż wielokrotnie łamałem przykazania Boże... Jestem w wielkiej rozterce i oczekuję od Duszpasterza odpowiedzi. Nie wiem bowiem, czy moje wątpliwości nie są odstępstwem od zasad wpajanych mi od dzieciństwa, a więc oddaleniem się od Boga — czyli grzechem”.

Szanowny Panie Stanisławie! Ludzie nie zawsze byli źli. Bowiem Bóg stworzył człowieka jako istotę doskonałą w swoim rodzaju, zaś między jego rozumem a wolą istniała niezmacona harmonia. Jednak na skutek upadku pierwszych ludzi została ona zniszczona. Do głosu doszły zle skłonności. Zwraca na nie uwagę św. Paweł, gdy pisze: „W członkach moich dostrzegam inny zakon, który walczy przeciw zakonowi, uznawanemu przez mój rozum i bierze mnie w niewolę grzechu” (Rz 7,23). Dlatego, chociaż „światłość przyszła na świat, ludzie bardziej umiłowali ciemności, bo ich uczynki były złe” (J 3,19). Oczywiście Bóg łatwo mógłby „doprowadzić ludzi do porządku”. Nie czyni tego jednak, gdyż szanuje ich wolną wolę. Pamiętać jednak należy, że każdy człowiek będzie musiał „zdać sprawę z włodarstwa swego” i ponieść konsekwencje swojego postępowania. Zatem zło nie ujdzie bezkarnie. A ponieważ Bóg jest wieczny, nikt z czyniących zło mu „nie ucieknie”.

Nawiązując do Pana relacji odnośnie korzyści płynących z lektury Biblii, chciałbym przypomnieć słowa Apostoła, skierowane do Tymoteusza: „Trwaj w tym, czegoś się nauczył i czego jesteś pewny,... ponieważ... znasz Pisma Święte, które cię mogą obdarzyć mądrością, ku zbawieniu przez wiarę w Jezusa Chrystusa. (Bo) całe Pismo jest na-

technione i pożyteczne do nauki, do wykrywania błędów, do poprawy, do wychowania w sprawiedliwości” (2Tm 3,14-16). Dlatego serdecznie zachęcam nadal do czytania Biblii.

O starozakonnym zakazie sporządzania posągów i obrazów oraz oddawania im czci pisałem w poprzednim numerze naszego tygodnika. Zgadzam się z Panem, że jeden jest pośrednik między Bogiem i ludźmi oraz, że do Ojca przychodzi się przez Syna. Nie wyklucza to jednak pośredników pomocniczych, którzy przykładem swego życia ukazują nam drogę do Boga.

Chrześcijaństwo nie może być złym drzewem, gdyż opiera się na objawionych przez Boga zasadach wiary i moralności. To tylko poszczególni ludzie — jak trafnie sam Pan zauważa — postępują źle. Nie można ich zatem utożsamiać z całym chrześcijaństwem. Jednak coraz częściej rozlegają się głosy domagające się naprawy życia wyznawców Chrystusa i postępowania ich na wzór pierwszych chrześcijan, wśród których „było jedno serce i jedna dusza” (Dz 4,32a). Ale aby to osiągnąć, należy wszystkim odnowić w Chrystusie. Równocześnie chciałbym Pana uspokoić, że same wątpliwości nie są jeszcze grzechem.

Moje pozdrowienia dla Pana i pozostałych Czytelników chciałbym wyrazić słowami Apostoła Narodów, który jeden ze swoich listów kończy życzeniem: „Bóg miłości i pokoju (niech) będzie z wami” (2 Kor 13,11b).

DUSZPASTERZ

PORADY

Karnawał w tym roku wyjątkowo krótki, ale na ostatki może jeszcze zdążymy zorganizować zaproszoną w ubiegłym tygodniu prywatkę młodzieżową. Dziś więc powiedzmy kilka słów o obowiązkach gości, zaproszonych do wspólnego spędzenia czasu w zaprzyjaźnionym domu.

— Gość powinien stawić się punktualnie na umówioną godzinę. Jeśli mimo wszystko zdarzy mu się spóźnienie — powinien wytłumaczyć się i przeprosić gospodarzy.

— Nie można przyprowadzać ze sobą niezaproszonych gości, nawet najsympatyczniejszego chłopaka czy najładniejszej dziewczyny. Nigdy też nie można posyłać „zastępstwa”, nawet znanego gospodarzom. To my byliśmy zaproszeni, a jeśli naprawdę nie możemy pójść — trudno.

— Oznaką szacunku dla gospodarzy jest schludne ubranie, które również gościom powinno przypominać o bardziej uroczy-

stym niż np. w klasie charakterze spotkania. Czy powtarzać, że trzeba też pamiętać o włosach i paznokciach?

— Zaprzyjaźniony i zadomowiony gość może zaproponować gospodarzom pomoc, a gdy zostanie przyjęty — niech robi to, o co zostanie poproszony, a nie to, co jego zdaniem należy robić. Pomóc można bardzo wiele, zarówno przy podawaniu napojów i jedzenia, jak i przy zmywaniu i sprzątanu ze stołu.

— Goście bawią się w tym pomieszczeniu, dokąd ich zaproszono. W żadnym wypadku nie należy rozchodzić się po mieszkaniu, zwłaszcza, gdy drzwi do innych pokoi nie są gościnnie otwarte, lecz przymknięte.

— Szanujmy gościnne mieszkania, jak swoje własne. Nie stawiajmy mokrych szklanek na meblach ani na obrusach. Lepiej oddać do rąk własnych gospodyni, albo wytrzeć serwetką. Nie

należy wyrzucać gryzki ani wykalceczek z kanapeczek czy korek do doniczek czy za kanapę. Jeśli nieumyślnie zrobi się jakąś szkodę, trzeba starać się szybko ją naprawić.

— O gustach, jak wiadomo, nie dyskutuje się. Dlatego nie można krytykować mieszkania gospodarzy, ani podanego jedzenia. Jeśli coś nam smakowo nie odpowiada, można po prostu nie jeść. Dlatego lepiej nie nabierać na talerz jednorazowo zbyt dużej porcji. Lepiej dobrać sobie ponownie, chwając przy okazji gospodyni.

— Nie należy mówić tylko o sobie ani sprowadzać każdej rozmowy do własnej osoby. Są jeszcze inni, pozwólmy i im coś powiedzieć.

— Nawet najbardziej zafascynowana sobą para nie może poświęcić się wyłącznie sobie. Dla dobrej zabawy wszyscy powinni bawić się ze wszystkimi.

— Trzeba umieć wyjść w porę i nie przeciągać zabawy zbyt długo. Pamiętajmy o rodzicach, rodzeństwie i sąsiadach gospodarzy.

— Chłopcy powinni pomyśleć o odprowadzeniu do domów koleżanek, najlepiej według miejsca zamieszkania lub... sympatii. Żadna jednak dziewczyna nie może wracać sama.

Dla porządku wspomnijmy jeszcze o tym, że gdy zabawa czy prywatka jest składkowa, obowiązki gości i gospodarzy są takie same, przy czym oczywiście mogą być różnie podzielone, np. na robienie zakupów i przygotowywanie posiłku, na wykonanie poczęstunku w domu i przyniesienie go na prywatkę, na zainstalowanie sprzętu grającego czy wykonanie dekoracji. Pomyślów jest na pewno wiele, a my życzymy miłej i kulturalnej zabawy!

strzegła i wstyd mi było odejść od twego ideału. Cesia mi mówiła, że gdybym nie miał takiej siostry, to by mi nigdy życia nie poświęciła. I ma rację.

— Żebyś nie był z gruntu szlachetny i delikatny, nie miałabym żadnego wpływu. Sameś się strzegł.

Ucałowali się serdecznie, potem spojrzeli na siebie i widocznie na jedną myśl posmutnieli.

— Nie ma Wacia! — szepnęła Jadzia, a Jan oczy spuścił i otarł wąsy czy lzy nieznacznie.

Po chwili, może przez wzdął na obcego świadka, podnieśli głowy i Jadzia zwróciła się do hrabiego:

— Jan pana pewnie aż męczy swym szczęściem?

— Jako starszy druhba, jestem po trosze zainteresowany — odparł z uśmiechem.

— Ale — wmieszał się szczęśliwy narzeczony — Wentzel z Cesią tak się pokumali, że aż strach. On nas pogodził i zaręczył. Wypiliśmy we troje braterstwo i przechrzciliśmy go po naszymu na Wacława.

— No, no, i to wszystko przez te kilka godzin! — uśmiechnęła się panienka. — Ile zmian! Będziecie mieli czym zabawiać panią Teklę do mego powrotu.

— Dziękuję, ja idę spać — wołał Jan przestraszony. — Ani się pokazuje, nim ty jej nie przygotujesz. Ślicznych bym rzeczy się nasłuchał z pierwszego impetu!

— Hrabia mnie zastąpi. Ma szczególne łaski.

— Aha, hrabia! I on czym innym zajęty. On mi druhbą, a ja mu swatem. Mamy z sobą wiele jeszcze do mówienia. Strzeżcie się, Polki! Prusak porwie z was jedną. Niech no się zdecydujemy na którą, przepada. Ty nam pomożesz, Jadziuniu.

— Nie obiecuję. To są sprawy zbyt osobiste. Ale tymczasem proszę mnie puścić. Spóźnię się niezawodnie.

— Do widzenia! Nie zapomnij się za mnie pomodlić.

— O! Niezawodnie! — odparła.

Jan przystąpił. Wentzel podał jej rękę.

— A za mnie czy się pani pomodli? — spytał.

Po twarzy jej przeszedł nerwowy skurcz; spojrzała mu dziwnie w oczy.

— Pomodłę się! — mruknęła niewyraźnie.

Pochylił się szybko i, nim zdołała się cofnąć, pocałował ją w rękę.

— Niech pani się pomodli, bym się stał kiedyś was godny — rzekł usuwając się na bok, a jego błyszczące, magnetyczne oczy mówiły bez słów: „Kocham cię całą duszą”.

— Ruszaj, Maciej! — zawołała panienka unikając tego okropnego wzroku pokusy.

Ba, kiedy Macieja nie było na koźle.

Szanowny swat wynalazł jakąś usterkę w zaprzęgu i zwerbował furmana na ziemię. Obydwa majstrowali coś przy chomątach.

Wentzel spojrział w tamtą stronę i oznajmił spokojnie:

— Coś się popsuło.

Zbliżył się znowu, oparł o drzwiczki budy, i wpatrzony w nią, opowiadał swobodnie ostatnie chwile balu i zaręczyny Jasia.

Jadzia wsunęła się w głąb powozu i słuchała milcząc. Wszyscy się na nią sprzysięgli, nawet brat, zatopiony nad uszczerbkiem w uprzęży. Czuli, że ta reperacja była umyślna, a uszkodzenie fikcyjnym — ale cierpiała nie dając nic poznać po sobie.

— Panna Celina jest ślicznym, uroczym stworzeniem — mówił Wentzel — i, jak wszystkie Polki, kryje niespodziankę po sobie. Z pozorów trzpiot i swawolnica, myślałby kto, bańka mydlana lub wesoły śpiewający ptaszek. No, i złapałem się na pozór, jak fryc. W polce mówię jej żartem: „Jak można się gniewać na Jasia? Taki ładny, wesoły chłopiec, trzeba go kochać”. Oburzyła się okropnie: „Pan myśli, że go trzeba kochać tylko, że ładny i wesoły? Jego trzeba kochać, choćby był straszdyło, bo on dobry, zacny, prawy i wierny! Pan mnie ma za lalkę!”. Zuch dziewczyna! I ją za to samo ubóstwiać trzeba. Żebym miał wolne serce, tobym zazdrościł Janowi takiej kochanki.

— Po polsku się mówi: ukochana! — zauważyła Jadzia.

— Ukochana! — powtórzył z cicha, jakby się uczył tego wyrazu — ukochana!

Dziewczyna zmarszczyła brwi, wyjrzała.

— Czy nie będzie dosyć tej reperacji? — zawołała niecierpliwie.

Jan raczył zdecydować, że już gotowe. Maciej wgramolił się na kozioł, naznaczył krzyż biczem i ruszył. Młodzi ludzie zostali na drodze.

— Trafisz, siostrzyczko, na benedicamus — zaśmiał się figlarz — ale to opóźnienie będzie i Bogu miłe, i ludziom przyjemne. Do widzenia!

Rozjechali się. Po chwili zamajaczyło w dali miasteczko, stanęli przed kościołem.

Pierwszą osobą, którą spostrzegła Jadzia, był Głębocki. Zzymnęła się. Sądzone snadź było, by nie miała chwili dla siebie samej.

— Wiedziałem, że pani będzie — rzekł posępny narzeczony, a na jego żółtą twarz wystąpił błysk radości.

POZIOMO: A-1) ukochana Jana z Czarnolasu, B-8) przepływa przez Żelazową Wolę, C-1) dokonuje „makijażu” fotografii, D-8) ogólne uznanie, poklask, E-1) kryty taras, F-7) satelita Ziemi, H-1) rozrusznik silnika, I-7) odległość, K-1) słodycz pochodzenia wschodniego, L-6) przynajmniej po roku od jakiejś daty, M-1) przytyk, przymówka, N-6) zadymka, zamieć śnieżna.

PIONOWO: 1-A) przygotowywanie ziemi pod zasiew roślin, 1-H) roślina na zupe, 3-A) lokum pod parterem, 4-K) witka, gałązka wierzbowa, 5-A) jedno z imion autora „Powrotu posła”, 5-G) ruchome połączenie kości, 6-K) trunek, 7-E) harmonijne współbrzmienie kilku tonów, 8-A) pogoda, 9-D) stos papierów, 9-I) okres, pora, 10-A) figura nie tylko w kartach, 11-F) krzewinka o jadalnych jagodach, 13-A) na przełomie zimy i wiosny, 13-H) akt prawny uchwalany przez sejm.

Po rozwiązaniu odczytać szyfr (przysłowie anatolijskie): (N-1) (A-10, N-4, F-11, E-6, I-8, A-13) (G-5, K-9, A-2, L-12, B-3) (L-8, L-1, F-1, N-10) (I-13, L-11, F-10) (M-2, E-13, M-13).

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 5”. Do rozlosowania: nagrody książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki nr 46

„Rozkazuj, a sam ukazuj” (ludowe).

Poziomo: kolejarz, Ruslan, urodzony, Wojski, amarant, usterka, kramarz, abonent, kwesta, tęcza, Utrata, krewetka. Pionowo: Kaukaz, kaktus, Leokadia, smak, jazda, kant, atak, tusza, zryw, Opty, odzew, esej, rezerwat, angina, strata.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 46 nagrody wylosowali: Aurelia Wośko z Kluczborka i Tadeusz Przepołowski z Plocka.

Nagrody prześlemy pocztą.

KRZYŻÓWKA nr 5

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13
A													
B													
C													
D													
E													
F													
G													
H													
I													
K													
L													
M													
N													

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Spoleczne Towarzystwo Polskich Katolików, Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: ul. Czardasza 16/18, 02-169 Warszawa. Telefon redakcji: 46-27-30; administracji: 46-27-30 Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy: Cena prenumeraty: kwartalnie 650 zł, półrocznie 1300 zł, rocznie 2600 zł. Warunki prenumeraty: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach większych oplacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” oplacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” oplacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”; 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kalportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konta NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1658-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy; Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — od dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; — do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówionych. Druk PZGraf. Smolna 10/12. Nakład 15 000. Zam. 717. A-37.

MIEDZY USTAMI, A BRZEGIEM PUCHARU

MARIA RODZIEWICZÓWNA

— Ja wolę? Kto to mówił? Brednie! Śni ci się coś! — zaperzyła się staruszka, odzyskując równowagę umysłu, ale Jadzia ciągnęła dalej:

— Żeby ten Prusak jako warunek pozostania w Mariampolu postawił moją rękę, poświęciłaby mnie babcia niezawodnie. Rzuciłaby wychowankę na pastwę Szwaba, odwiedziłaby i ja zbójcecki zamek nad Renem.

— Co to, to nie! na taką propozycję wyrzuciłabym go za drzwi. Ale co tam gadać! Czasy się zmieniają, a ty nie tamta słodka i cicha dziewczeczka.

— Więc niby ja jestem megiera! Dziękuję!

— Po co przerywasz? Jesteś inna i basta. Tobie ani radzić ani odradzać nie trzeba, i nie znalazłby się dość zuchwały Niemiec, który by ośmielił się uczynić podobną propozycję tobie.

Jadzia zamilkła. Był taki zuchwalec. ośmielił się, a ona go nie spiorunowała wzgardą i obrazą. Wysłuchiwała i dotąd słyszała namiętny głos wroga, szepczący jej w obcej mowie o czci i Kochaniu, i wierności dożgonnej.

I był to grzech słuchać go, i grzech myśleć, i może grzech przagnąć, by dotrzymał.

Harda dziewczyna była tak pokorną teraz w poczuciu winy i tak pełną nadziei na coś, czego nie ważyła się jeszcze określić.

Wróciwszy do domu zamknęła się u siebie. Czy spała — wątpliwe, bo rano w śród-popielcową oznajmiła zdumionej pani Tekli, że jedzie do Braniszczyna na nabożeństwo.

Staruszka odpoczywała jeszcze po balowej pańszczyźnie i aż podskoczyła z zgrozy na tę wieść; czepek jej kołysał się w takt urywanych wyrazów.

— Na mszę! Sama! O świcie? Czyś oszalała? Czego? Fe, jakaś ty

blada i mizerna! Oto jest skutek karnawałowych facecji. Chłopców nie ma?

— Nie wiem. Sanna wyśmienita, wróć na obiad — odparła śpiesznie panienka i zemknęła od dalszych uwag i komentarzy.

Nie była zdolna zachować dzisiaj swego chłodu i spokoju. Potrzebowała ciszy, samotności i medytacji, by się z sobą sama porozumieć.

Po raz pierwszy w życiu opadły ją jakieś wątpliwości, skrupuły, była okropnie z siebie niezadowolona.

Inna w jej wieku zwierzyłaby się koleżance, poradziłaby się babki, wynurzyłaby przed kimś swą zgrzyotę. Jadzia powiernic nie miała, a wszelkie swe smutki i radości przywykła była znosić sama, nie wtajemniczając nikogo.

Miała wstręt do gadulstwa i spowiedzi świętej. Była niesłychanie nieufna, dzika i skryta. Zdawało się jej, że wyznać swe uczucia — to wystawić się na śmiech i pogardę; miała to za nie do darowania błąd i słabość.

Tajemnic swoich nie udzielała nikomu, ale też nie zdradzała nigdy cudzych zwierzeń; nawet ukochany brat Jaś, nie mógł żadną miarą wydobyć z niej tak ważnej dla niego wieści: czy Cesią Zdżarską da mu nareszcie harbuza, czy rękę.

Jechała tedy Jadzia zasepiona tocząc duszny kompromis, gdy wtem na zawrocie ujrzała tuż przed sobą spienione ibly kasztanów Jasia.

— Stój! — krzyknął Jaś wyskakując z sanek.

Wyglądał promieniujący. I Wentzel wysiadł też. Zbliżyli się do niej obydwa.

— Nie zatrzymuj, bo się spóźnię! — rzekła podając obu rękę na powitanie.

— Zaraz, zaraz! Tylko zgadnij, kto ja jestem?

— To ci patrzy z oczu. Narzeczony Cesi.

— Niech cię uściskam! — pokazywał jej triumfalnie mały pierścieneczek paniński na palcu i zaśpiewał fałszywie, ale z ochotą:

Kochają się z strasznej mocy —

Będzie ślub po Wielkiejnocy! Hu, ha!

— Co? Nieradaś? — spytał.

— Owszem, z całego serca. Stworzeni jesteście dla siebie. Nudzić się nie będziecie. Starczy wam humoru na całe życie. Czego ci życzę, i jak szczerze, wiesz najlepiej.

— No, to daj buzi, mój aniele opiekuńczy. Żeby nie ty, może bym się rozhułtał i roztrwonil swe serce na miłostki. Aleś ty

59

(76)

Na zakończenie tematu „W rytmie serca”, dziś słówek kilka o zaręczynowych pierścionkach. Otóż po pierwsze, dobrze wiedzieć, że:

Wymiana pierścionków zupełnie wyszła dziś z mody. Jeśli jednak chłopiec koniecznie chce, może podarować dziewczynie pierścionek, który sam kupi lub otrzyma na tę okoliczność od swojej matki.

Przy zakupie pierścionka może towarzyszyć chłopcu dziewczyna, która ma, prawo wybrać sobie taki kamień, jaki lubi, nie mówiąc już o tym, że od razu też będzie rozstrzygnięta kwestia miary.

W niektórych dzielnicach kraju pierścionek zaręczynowy zastępuje obrączka.

Kupowanie sygnetu narzeczonemu nie jest przyjęte przez żadną tradycję, a poza tym nie jest eleganckie.

Pierścionek — jeśli go dziewczyna nie włożyła na palec od razu w sklepie, powinien być wręczony w cztery oczy. W każdym razie przed ewentualnym przyjęciem zaręczynowym.

Pierścionek zaręczynowy nosi dziewczyna na czwartym palcu lewej ręki. Jeśli wierzyć starożytnym, jest on podobno połączony bezpośrednio z sercem.

Wzajemne poznanie rodziców przyszłych narzeczonych lub już narzeczonych, zgodnie z tradycją wymaga złożenia wizyty rodzicom dziewczyny. Porządek ten może być odwrócony tylko w przypadku wyjątkowych okoliczności. Jeśli jednak rodzice obojga mieszczą w różnych miastach, mogą poznać się dopiero na ślubie młodych.

W okresie poprzedzającym uroczystość ślubną młodzi mogą mówić matce partnera



W rytmie serca

czy partnerki „mamo”, o ile oczywiście ona do tego zachęciła i sama zwraca się po imieniu do przyszłej synowej czy zięcia.

Zaręczeni powinni ponadto wiedzieć, że już jako przyszli małżonkowie biorą na siebie pewne obowiązki. A więc towarzyszą sobie na zabawie, w teatrze, w czasie wizyty do najbliższych znajomych. Toteż nawet najbardziej postępową panną nie powinna chodzić na zabawy bez narzeczonego, a już na pewno wyjeżdżać na wycieczki za miasto z kolegami. Szanowanie uczuć kochanego i kochającego człowieka, to już nie tylko sprawa dobrego tonu, i wychowania, a przede wszystkim serca i delikatności.

Nie oznacza też, by narzeczeni będąc między ludźmi kurczowo trzymali się razem. Zarówno ona, jak i on mogą przecież bać się czy rozmawiać z innymi. Byleby tylko nie przekraczali w tym dozwolonych

granic. Narzeczeni powinni też wiedzieć, że w towarzystwie obowiązuje ich pewna powściągliwość w okazywaniu wzajemnych uczuć.

Wspólnie spędzony czas zbliża ludzi. Obojętne czy będzie to pójście do kina czy majowa wycieczka za miasto. Potrzeba wspólnie spędzonego czasu świadczy o ich wzajemnym uczuciu. Jeśli tego nie odczuwają — niech odłożą na później małżeńskie plany lub po prostu z nich zrezygnują.

Chłopiec powinien pamiętać, że zawsze odpowiada za swoją przyszłą żonę. Toteż przez wzgląd na opinię dziewczyny a także i przez wzgląd na siebie nie powinien narząca jej swoim zachowaniem na obmowę i brak szacunku ze strony otoczenia. W tym może okazać się rycerskość i szlachetność mężczyzny. Takie zasady postępowania obowiązują przede wszystkim w odniesieniu do bardzo młodych kobiet. Dojrzałe kobiety w zasadzie odpowiadają za siebie, ale i w tym przypadku odpowiedzialny mężczyzna nie narazi na szwank dobrego imienia kobiety.

Zerwanie zaręczyn jest konieczne, gdy okaże się, że przyszli małżonkowie nie stanowią dobranego stadła, lub gdy jedna ze stron postąpiła względem drugiej nieuczciwie, a także, gdy są poważne powody przemawiające przeciwko małżeństwu.

Dobre wychowanie nakazuje natomiast, by przy zerwaniu zachować takt, spokój, powagę a nade wszystko dyskrecję. Kulturalny mężczyzna bez względu na okoliczności zawsze będzie bronił byłej narzeczonej przed plotkami czy zarzutami ze strony otoczenia.

Natomiast otoczeniu dam dobrą radę: w tych sprawach nigdy nie zadaje się pytań. Przyjmuje się jedynie do wiadomości fakt — to wszystko.

Oprac. ELDo